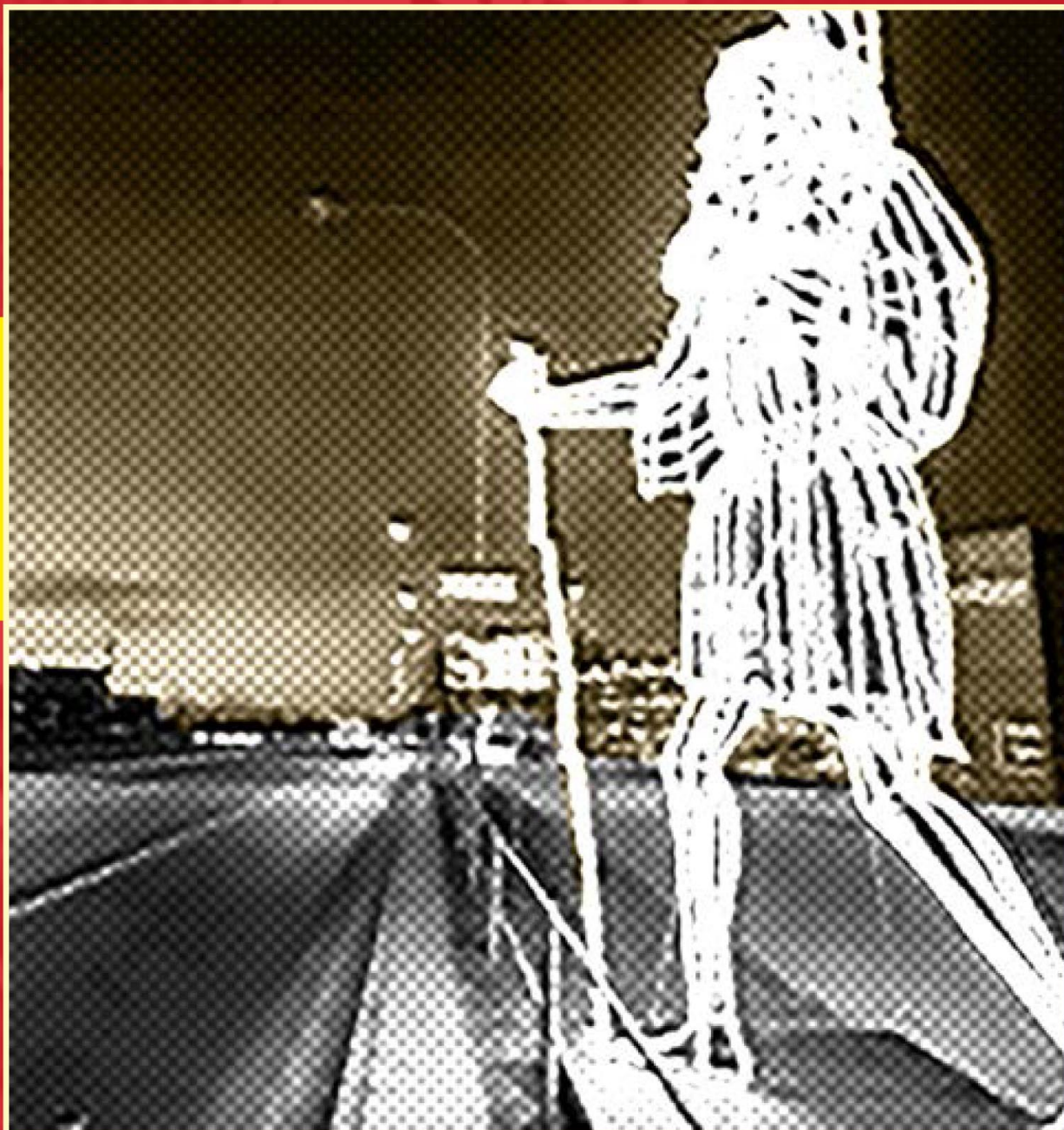


Wzrostek

NR 1 (004) • ROK IV • wiosna/lato 2023



DODATEK LITERACKI DLA DZIECI, MŁODZIEŻY, DOROŚLYCH I SENIORÓW CZASOPISMA SPOŁECZNO-KULTURALNEGO «LUBLIN. KULTURA I SPOŁECZEŃSTWO»



Herb Wilna, św. Krzysztof kroczy przez miasto
NEON, [HTTP://WWW.WILNOTEKA.LT](http://www.wilnoteka.lt), FOT. MADENVILNIUS.LT



Wileńska nadzieja

Drodzy Czytelnicy,

Wilno inspirowało! Było natchnieniem poetów, malarzy, muzyków. Dziś – można rzec – iż Wilno wymaga inspiracji. Litwa ma poważne problemy. Jednym z nich – o czym wspomina Paweł Krupka, poeta i dyplomata – jest masowa emigracja zarobkowa młodych Litwinów. Jak ich zatrzymać w kraju? Wiary w lepsze dni potrzeba jak powietrza stąd popyt na dzieła o nadziei, błyskotliwych karierach i triumfach. Gdzie i kiedy mogą powstać takie utwory? Tam, gdzie zachęci się twórców do pisania o drogach wiodących do sukcesu. Ogłoszono więc konkurs literacki „Wileńska nadzieja”, którego celem było pobudzenie młodych do manifestowania nadziei i optymizmu! Akcja cenna, warta odnotowania, plon godny uwagi. Czy proza młodych autorów roznieci nadzieje w sercach rówieśników? Odpowiedź trudna. Ale nie można nie wesprzeć wileńskich działań. Lublin zawsze wyciągał ku Litwie przyjazną dłoń. Publikujemy nagrodzone w Wilnie utwory. Zachęcam do lektury.

I do następnych spotkań – redaktor



Antanas Kmieliauskas,
Św. Krzysztof, granit,
rzeźba na dziedzińcu
kościółka św. Mikołaja
w Wilnie, 1957/1959



Ministerstwo Kultury
i Dziedzictwa Narodowego



DODATEK LITERACKI DLA DZIECI, MŁODZIEŻY, DOROSŁYCH I SENIORÓW CZASOPISMA SPOŁECZNO-KULTURALNEGO «LUBLIN. KULTURA I SPOŁECZEŃSTWO»

NR 1 (004) • ROK IV • wiosna/lato 2023

Koziołek

Dodatek literacki dla dzieci, młodzieży, dorosłych i seniorów czasopisma „Lublin. Kultura i społeczeństwo”

Wydawca

Stowarzyszenie Pisarzy Polskich – Lublin

Redakcja

ZBIGNIEW WŁODZIMIERZ FRONCZEK – REDAKTOR NACZELNY

WOJCIECH PESTKA STANISŁAW ŻUREK, JADWIGA KRÓL (KOREKTA),

MICHAŁ P. WÓJCIK (OPRAC. GRAFICZNE, WINIETY, OKŁADKA)

Adres redakcji

20-882 Lublin, ul. Organowa 1/63

tel. 607 222 193, e-mail; froncze@wp.pl

Skład, druk, oprawa

Wydawnictwo POLIHYMNIA Sp. z o.o.

20-832 Lublin, ul. Deszczowa 19

tel/fax +48 81 746 97 17 www.polihymnia.pl

Projekt dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury – państwowego funduszu celowego, jak również ze środków finansowych Miasta Lublin i Województwa Lubelskiego

SPIS TREŚCI

Paweł Krupka <i>Wileńska nadzieja</i>	3
Daniel Dowejko <i>Nadzieja na nowe życie</i>	5
Gaja Lapinskaitė <i>Smaki wileńskiego życia</i>	7
Dariusz Lewicki <i>Niewidoma i pies. . .</i>	
<i>In memoriam Lirae</i>	10
Agnieszka Masalytė <i>Coraz bliżej domu</i>	13
Karina Tylingo <i>Serce stolicy</i>	15
Faustyna Zawalska <i>Gra ze śmiercią</i>	19
Paweł Krupka <i>Wileńskie niepokoje</i>	27
Ugnė Makselytė <i>Schodziarz</i>	29
Elżbieta Geben <i>Język w piwnicy</i>	39
Nomeda Griškevičiūtė <i>Gołębie i cytryny</i>	49
Nomeda Griškevičiūtė	
<i>Baba Jaga do kwadratu</i>	50
Augustas Lapinskas <i>Rytmika</i>	52
Augustas Lapinskas <i>Mantù</i>	53
Augustas Lapinskas <i>Drzenie</i>	56
<i>Święty Krzysztof w plastyce</i>	61



Paweł
Krupka

Wileńska nadzieja

W 2020 roku INSTYTUT POLSKI W WILNIE, wspólnie ze Stowarzyszeniem Literatów Polskich na Litwie oraz z fundacją Naujoji romuva, zorganizował konkurs dla młodych pisarzy na opowiadanie o tematyce optymistycznej. Organizatorzy nadali konkursowi tytuł *Wileńska Nadzieja*, bowiem głównym celem inicjatywy było pobudzenie młodych autorów do wyrażenia w twórczości literackiej przesłań nadziei i optymizmu w ciężkim czasie pandemii. Oprócz trudności i wyrzeczeń, które dotknęły cały świat w obecnej dobie, Litwa od lat jest też dotknięta masową emigracją zarobkową młodzieży, a w kraju panuje powszechne przekonanie o braku perspektyw dostatniego życia dla młodych ludzi. Dlatego organizatorzy konkursu uznali za ważne poszukiwanie optymizmu i nadziei w sztuce.

Zważywszy na obecność na Litwie dużej polskiej społeczności, która stanowi w są-

siednim kraju najliczniejszą mniejszość narodową, konkurs został ogłoszony w dwóch kategoriach językowych: po litewsku i po polsku. Oprócz nagród rzeczowych, laureaci konkursu otrzymali obietnicę publikacji nagrodzonych prac w obu językach – po litewsku na Litwie i po polsku w Polsce. Na Litwie wydania zwycięskich opowiadań podjęła się redakcja popularnego dwumiesięcznika *Pašvaistė*, na łamach którego debiutowało w ostatnich latach wielu zdolnych litewskich pisarzy. Nagrodzone opowiadania były regularnie drukowane przez cały rok w kolejnych numerach czasopisma – powstałe po litewsku w wersji oryginalnej, zaś napisane po polsku w przekładzie świetnej młodej tłumaczki Edyty Masiulaniec, laureatki konkursu dla tłumaczy literatury *Amat victoria curam*, przeprowadzonego rok wcześniej przez tych samych organizatorów wraz z partnerami.

Publikacji nagrodzonych opowiadań w Polsce podjęła się redakcja zaprzyjaźnionego dwumiesięcznika „Lublin. Kultura i społeczeństwo”, która w 2019 roku z okazji 450-lecia Unii Lubelskiej poświęciła jeden z numerów tematyce litewskiej. Redaktor naczelny Zbigniew Fronczek zdecydował się poświęcić konkursowi *Wileńska Nadzieja* specjalny dodatek *Koziółek*, prezentujący co kilka miesięcy wybrane zagadnienia okolicznościowe. Przedstawiamy więc dzisiaj Państwu twórczość młodych pisarzy z Litwy. Podobnie, jak w Wilnie, w Lublinie prezentujemy wszystkie siedem prac nagrodzonych w konkursie. Cztery z nich napisali po polsku nasi rodacy zamieszkujący od wieków południowo-wschodnią Litwę. Niektórzy z nich, jak zwyciężczyni konkursu, Agnieszka Masalytė, już od kilku lat publikują swoje utwory i aktywnie uczestniczą w życiu literackim litewskiej stolicy. Inni, jak laureat drugiej nagrody Dariusz Lewicki, energiczny i już zasłużony, mimo młodego wieku, działacz społeczny, debiutują w dziedzinie literatury. Te utwory drukujemy, oczywiście, w wersji oryginalnej.

Opowiadania napisane po litewsku przełożyła na język polski uzdolniona poetka i malarka Krystyna Užėnaitė, aktywna członkini Stowarzyszenia Literatów Polskich na Litwie oraz związku polskich malarzy na Litwie Elipsa. Ta artystka była zaangażowana w organizację konkursu *Wileńska Nadzieja*, a także w liczne wcześniejsze polsko-litewskie inicjatywy twórcze, m. in. w organizację wspomnianego wyżej konkursu dla tłumaczy. Jeden z laureatów, Orestas Razu-

mas, publikował już wcześniej swe utwory, natomiast zwyciężczyni kategorii litewskojęzycznej Karina Tylingo i Gaja Lapinskaitė są debiutantkami.

Tematyka opowiadań napisanych w obu językach jest zróżnicowana. Niemniej, można w nich zauważyć aspekty i elementy łączące wyobraźnię literacką autorów oraz ukazujące wrażliwość estetyczną i społeczną litewskiej młodzieży. W większości tekstów mamy do czynienia z codziennym życiem młodych ludzi, z ich rzeczywistymi troskami i radościami. Ton opowiadań jest na ogół umiarkowany i zrównoważony. Nie ma w nich spektakularnych przygód, ani gwałtownych uniesień. Nikt nie wygrywa zawodów sportowych, ani losu na loterii, nie znajduje też romantycznej miłości od pierwszego wejrzenia. Bohaterowie umieją znaleźć radość i pociechę w swych zwykłych, codziennych, pozornie banalnych doświadczeniach. Świadczy to o mądrości i dojrzałości młodych autorów.

W imieniu organizatorów konkursu polecam Czytelnikom spotkanie z młodymi litewskimi pisarzami. Jestem pewien, że znajdą Państwo w ich młodzieńczych próbach literackich ciekawe i wartościowe świadectwo przeżyć i przemyśleń pokolenia, wchodzącego w dorosłe życie w trudnym czasie, naznaczonym pandemią oraz innymi poważnymi wyzwaniami społecznymi i gospodarczymi. Wydawcy okolicznościowej edycji *Koziółka*, poświęconej konkursowi *Wileńska Nadzieja*, składam zaś serdeczne podziękowanie za życzliwe i gościnne ugoszczenie nagrodzonych nowel na swych łamach. ●





PO POWROCIE NA WILEŃSZCZYZNĘ widać czerwone gmachy, omyte zagubionym promieniem. To słońce, niczym matka, prosi swe dzieci co ranka. Jak i co dnia maluje domy i ulice, prowadzę je za rękę po ścieżkach jesieni nad Wilenkę, gdzie Anioły żyją. One patrzą przez chmury, kłosem żyta malują obrazy nieba, lekkim pyłkiem ziemię karmią, leją nadzieję do serc ludzkich.

W moim domu jest chłodno. Przez otwarte okno słychać szept uśpionej przyrody. Bo jest jesień, która co roku rozlewa tęczę z drzew na boscie chodniki Wileńszczyzny. Jak i co wieczór zapala kaganek nocny, który niczym niedźwiedź powoli człapie ku górze, zsyłając ludziom wieniec z gwiazd, który pogodną nocą przez odsłonięte okno spowiada bezsenne dusze. W Wilnie już cisza. W nocnych labiryntach na ulicach krążą pierwsze płatki śniegu, które unoszą się i opadają niczym fale, zostawiając za sobą migotliwe jak srebro ślady na jesiennych kałużach, które utrzymują się na wodzie tak krótko, jak i każdy sen po przebudzeniu. Być może i sad już sypia w zimowej piżamie, bez liści, gdyż one jak i każde drzewo padają do snu zimowego, pozostawiając po sobie jedynie proch dla przyszłych pokoleń, co ulega zapomnieniu.

Wiosną sad, niczym małe stróżki mojej ziemi i dzieciństwa, jak i co roku tonie w bieli. A ja, niczym dziecię, się śmieję i sypiam w ramionach matczynej jabłoni. Sad gładzi boscie nóżki płatkami kwiatów, karmi swym chlebem, a gdy w życiu burza – leczy rany, suszy me wargi i uchyla drzwi z gałęzi przed nagle wichrem

z meteorytów. Uwielbiam tu kąpiele letnią nocą, na kocu zieleni aż do północy.

Tu stare, pnące się wysoko w górę drzewa nucią historię dziadów i pradziadów. Letnim rankiem o wschodzie słońca przymierzają srebrne ubiory, które się promienieją całą paletą barw. Drzewa moczą stopy w zieleni i plotą złoty dywan z mleczka, który staje się niczym mostem, co łączy naród w jedno ze wszystkich krańców świata. Słychać tu hymn pszczół, taniec chrobączy z motylem, wyścig skrzyпка – polnego konika ze świerszczem, łopot skrzydeł ptaków, co szukają schronienia przed głodem. Jesienią jabłonie są pełne owoców nieco kwaśnych, niepomalowanych. Tuż obok pęcznią grusze, nieśmiałe śliwy, zawstydzone wiśnie i trześnie, co się kryją w przepychu zieleni. W centrum – zakwitło słońce, które rozpościera tysiące oczu na swe dzieci, by żadne nie umknęło spod kontroli. Sad – to kraina ziół, miodu i homeostazy. Każdemu daruje kolor biały, tuli korą ludzi i obcych, i bliskich, jak i Matka Niebios swe dzieci przed trwogą. I chociaż wiem, iż ukradnie się jesień, niczym ptak, co targa, rwie i ścina gałęzie, będę czuwał nad tobą. Ulecę ci rany strofą swego wiersza.

Przy sadzie – sanatorium, gdzie co dzień siadam na ławie, spoglądam na wodę, słucham opowieści ptaków, rybaków. Co wieczór widnieje tu gra ważek na powierzchni wody, co przypomina niczym beztroski taniec baletnic po martwym jeziorze, a o świcie na scenę wchodzi skaczące do wody promienie słońca, co

przed nurknięciem do wody zdążą zabłysnąć zostawiając po sobie jedynie chwilowy ślad w pamięci. Woda przemawia milczeniem, koi swojskim głosem wsłuchującym głęboko w serce. Czasem uzdrawia, lecz rany duszy.

Nieraz podnoszę głowę. Widzę życie i słońce skaczące z nieba do wody. Powoli, bo jest też matką, co nie zostawia swe dzieci. Raz po raz powracam na brzeg, aby odejść z koszem wrażeń i nabieranym bukietem marzeń. Woda zachowuje tajemnice, wyleczy, pomoże, wysłucha, tak jak i Matka Boża, co spogląda na mnie i błogosławi z okien kościoła św. Trójcy w Suderwi. Kościół klasycystyczny o formie rotundy z latarnią na dachu. Co wieczór tu słychać różaniec lub litanię do Niepokalanej. Na przedniej połowie obwodu, co stanowi kolumnę, składającej się z sześciu mniejszych kolumn jest centralne wejście do kościoła. Pomiędzy kolumnami są nisze, gdzie widnieją dziewiętnastowieczne rzeźby świętych postaci, wykonanych z drewna przez Ignacego Pulmana.

W sadzie przed wartkim nurtem rzeki stoi drewniana chata. To dom samotnej, wygasłej babuni. Czasem nuci baśnie o kocie w butach, który często gra z nią w karty lub o starej panie czy skrzacie, co sypia pod lipą. Drzwi domu skrzypią, niczym ból zadany przez pustkę, szklane furtki opętane siecią pajaków, co stanowi sztuczną osłonę przed słońcem. Na ścianach widnieją wgłęścia, być może to ślad przemocy wobec dziadka, co zginął, niczym kwiat padły z rąk ogrodnika. Na dębowym stole – ciasto, karty, kilka okruchów po śniadaniu oraz zakurzona świeca, niby lampa, co oświeca znużoną twarz o północy. Tak, to ona, przypomina bezdomną z rogu sąsiedniej ulicy w purpurowym kapeluszu, ze zdruzgotaną twarzą i szarą podartą

spódnicą siada przy kołowrotku. Unosi wzrok pionowo na mnie niczym prosząc o wspólną rozmowę przy filizance kawy. Następnie wstaje, idzie po bochenek chleba do glinianego pieca nucąc pieśń o wolności. Czy to naprawdę moja babunia? W mej pamięci jest popielata, dotknięta przez pęd życia. Lecz gdy mrok naokoło zapada, słychać krzyk babci. Anioły śpieszą na pomoc szybko. Lecz słyszą tylko... ostatnie słowa różańca świętego i widzą gorzkie strumyki mgliste, płynące spod martwych oczu. Anioły unoszą do nieba niewinną babunię, co padła od ręki żołnierza. A ja z obrazkiem świętym w skupieniu i wierze chyba będę jak płomyk na jej grobie.

Teraz mój dom w Wilnie jest inny. Cichy, niemy, pusty. Jest ciemnoszary, opętany poranną mgłą, tonie na skraju mego cienia, nagi, bez ludzi. Nie mogę mu pomóc, gdyż jestem daleko. Z wieżowca kieruję swój wzrok na Wilno. Przede mną obraz – zabito tu babunię i drzewa spiłowano na eksport. Zapełnione płoną w piecach uginając się z bólu lub próchnieją bez wody. Pamiętam ten taniec iskier. Zamknąłem oczy, by uciec przed łąką czarnych słupów. Słyszano, iż na tej równinie wybudują pałac dla panów lub kamienicę ze szklanym okiem na wody. Wysoką, niczym symbol zajętych terenów. To szkło spogląda na mnie, tkwi w moim sercu, gdyż byłem zbyt słaby, by stanąć w obronie ojczyzny.

W snach i marzeniach, w parze ze łzami wehikuł czasu się kręci, na wstecznym biegu daruje chwilowe powroty, przysypane siewi jesieni. Być może wschód słońca rozproszy złe sny i ożywi pęk drzew porannym promieniem słońca. Wiem, jutro wkrótce nastąpi. Nadzieja nie umiera. Wilno się obudzi. ●





SKLEP „SMAKI WILEŃSKIEGO ŻYCIA” powstał na obrzeżach starówki i działa od ponad stu lat zachowując dawne receptury i jakość. Jego lokalizacja i nazwa z czasem nieco się zmieniły, ale towary pozostały takie same. Nie był zbyt duży – dokładnie taki, jaki powinien być sklep o podobnym charakterze, ale jego styl pachniał luksusem. Nie odwiedzałam go od dawna, ponieważ siedzący tryb życia ostatnich lat złamał tradycję nastolatki. Jednak dziś nastąpił dzień wymagający zmian.

W mglisty poranek przymknęłam oczy i po raz pierwszy w ogóle nie chciałam wstawać z łóżka. Prace, które dawniej sprawiały radość, teraz wydawały się bezsensowne, a te trudne – powodowały jeszcze większy smutek. Przypomniałam sobie przyjaciół i bliskich. Wydali się odlegli, zimni i niekochający. Podniosłam się z łóżka i przeszłam przez pokoje – szare i obce. Ogarnięta rozpaczą miałam tylko jeden wybór – założyć buty i udać się w miejsce, którego już nie planowałam odwiedzać.

Już wchodząc do starego, ale jasnego pomieszczenia sklepu, poczułam zapach wanilii i drewna. Wydawało się, że od ostatniej wizyty nic się tutaj nie zmieniło, tylko sprzedawczyni była inna. Jej jasnoróżowe włosy aż lśniły w słońcu i musiałam przemknąć oczy, żeby na nią spojrzeć.

– Dzień dobry, chciałabym... – spojrzałam na ceny – ...sto gramów nadziei.

Sprzedawczyni uśmiechnęła się i potrząsnęła głową:

– Przepraszam, ale nadzieję sprzedajemy nie w gramach, ale w pudełkach. Jedno pudełko – trzysta gramów – wskazała na kilka kartonowych, pomarańczowych pudeł związanych wstążkami i ułożonymi jedno na drugim.

Westchnęłam, wyciągnęłam portfel i sprawdziłam, że mam tylko kilka centów – nie wystarczyłoby tego nawet na sto gramów. Pożegnałam się ze sprzedawczynią i wyszłam na ulicę z pustymi rękami. Niczego więcej nie chciałam, po prostu upaść do łóżka i zapomnieć o całym świecie.

Następnego dnia ciężko mi było wziąć się do jakiegokolwiek działania. Wszystko wydawało się bezsensowne, ciało bolało, męczyło niewytłumaczalne zmęczenie. Nie wiedząc co robić, ponownie udałam się do sklepu. Tym razem jednak, gdy tylko weszłam przez drzwi, zauważyłam, że na półce nie było widać żadnego pomarańczowego pudełka. Zapytałam sprzedawczynię, ale ona patrząc na mnie z politowaniem tylko potrząsnęła głową i poradziła spróbować w przyszłym tygodniu.

Rozczarowana obejrzałam inny towar. W oczach migotało od kolorów, zapachy przypominały o pustym żołądku. Miłości było obficie i ze zniżką. Zmarszczyłam brwi.

– Cóż..., proszę podać mi miłość.

– Ile Pani zechce? – zapytała sprzedawczyni nakładając do woreczka cukierki z czerwonymi, błyszczącymi papierkami.

– Dużo – wymamrotałam połykając ślinę.
– Włóżć, proszę, pół kilograma!

Sprzedawczyni, nawet się nie dziwiąc, zrobiła, jak poprosiłam.

Gniotąc w rękach woreczek poszłam w stronę Ogrodu Bernardyńskiego. Wrócić do ciemnego mieszkania było teraz najmniej atrakcyjnie. Na powitanie zaszeleściły świeże liście drzew. Kilka matek z wózkami spojrzęło na mnie z zainteresowaniem. Znalazłam ławkę i odwijając cukierki z papierków

wkładałam do ust. Przegryzając czekoladę czułam smak rumu i wiśni, z malutkiej przyjemności zamykałam na chwilę oczy.

Kiedy zziębnięta jadłam cukierki, usłyszałam z boku śmiech. Rozejrzałam się zdziwiona. Na drugim końcu ławki siedział chłopak, którego wcześniej nigdy nie widziałam. Rozwiane włosy, badawczo spoglądające oczy.

– Może chusteczkę? – zaoferował. Zdałam sobie sprawę, że najwyraźniej wyglądam niezbyt dobrze. Z wdzięcznością wzięłam



i natychmiast zaczęłam wycierać czekoladę z ust i brody.

Druga chusteczka opadła mi na kolana.

– To na przyszłość... – powiedział sąsiad z ławki, odchodząc w dal parku. Na papierowej chusteczce było zapisane imię „Vakaris” i numer telefonu.

We wtorek następnego tygodnia w tym samym przygnębiającym nastroju, po raz trzeci wróciłam do sklepu „Smaki wileńskiego życia”. Na półce leżały aż cztery pomarańczowe pudełka. Kiedy zobaczyłam, aż serce zadrżało. Już szłam do kasy, kiedy do sklepu wbiegł mężczyzna w średnim wieku. Stał, na chwilę ocierając pot i próbując złapać oddech. Potem, omijając mnie, podszedł do lady.

– Ile Państwo mają nadziei? Wezmę wszystko!

Kiedy wybiegł z moim zakupem, sprzedawczyni tylko się smutno uśmiechnęła.

– Następnym razem, kochanie.

Świat naśmiewa się ze mnie. Wymknęłam się ze sklepu przysięgając sobie, że póki żyję, tam nie wejdę i udałam się w stronę starówki potykając się o kamienie... Byłam umówiona z Vakarisem na spotkanie na Wzgórzu Trzech Krzyży, więc poszłam, chociaż nie chciałam, by znowu zobaczył mnie smutną.

Dotarłam na szczyt w kilku krokach, nawet nie spodziewałam się, że przyjdzie szybciej ode mnie i będzie już czekał. Usiadłam na trawie i próbowałam się uśmiechać – przecież on nie był winien moich niepowodzeń. Jednak uraza uciskała w piersi jak kamień. Siedzieliśmy w ciszy. Miasto było pod nogami. Czerwone odbłaski zachodzą-

cego słońca malowały niebo. Vakaris skinął głową, jakby coś sobie przypomniał, ale natychmiast machnął ręką.

– Mam dla Ciebie prezent. Tylko nie wiem, czy się spodoba, zbyt mało cię znam.

– Pokaż!... – wykrzyknęłam.

Pochylił się i wyciągnął ... jasnopomarańczowe pudełko.

Rozpłakałam się i padłam Vakarisowi w ramiona.

– Wybacz, że płaczę – wymamrotałam. – Nie mogę tego wytłumaczyć...

Nie słuchał. Po prostu przytulał mnie, póki się wypłakałam, a potem podał paczkę chusteczek.

Przesiedzieliśmy rozmawiając całą noc. Światła miasta i gwiazdy przytakuje słuchały naszych zmęczonych głosów, a delikatny wiatr rozwiewał włosy. Nad ranem Vakaris powiedział, że chce mu się spać, wstał i odszedł, a ja jeszcze zostałam, nie bojąc się sama przywitać nowy dzień.

Gdy tylko poszedł, położyłam pudełko na kolanach i rozwiązałam wstążkę, lekką jak puch. Zdjęłam pokrywkę. Wewnątrz na różowym papierze leżały żelowe cukierki przypominające tureckie przysmaki. Wzięłam ostrożnie jeden, wiatr zdmuchnął z niego puder cukru i pomknął odwiedzić śpiące w dole ulice. Włożyłam cukierek do ust i zamknęłam oczy i gwiazdy prawie się rozpuścił na języku, pokąsałam chrupiący orzech. Życie stało się białe jak posypany mąką chleb albo zaśnieżona droga. Kiedy otworzyłam oczy, świt rysował się na horyzoncie, przesłaniając sny wiszące nad miastem. ●

Przełożyła Krystyna Užėnaitė



„CZASEM SERCE POSTRZEGA TO, czego nie widzą oczy”. Te słowa od razu przypomniały mi moją niewidomą sąsiadkę, która kiedyś miała suczkę. Niewidomi otaczający ich świat postrzegają w sposób inny, niż my – ludzie widzący. Potrafią odkrywać piękno tam, gdzie często – zdaniem większości – w ogóle go nie ma. Chociażby na przykład w małym papierku po cukierkach czy w trawie pachnącej poranną rosą. Osobom niewidomym szczególnie ważne jest utrzymywanie stałego kontaktu z ludźmi wokół nich oraz otrzymywanie jak najwięcej informacji o najnowszych wynalazkach, które mogłyby ułatwić im orientowanie się w środowisku i zrozumienie współczesnego świata. Należy zauważyć, że zdaniem badaczy, najprostszą rzeczą, której niewidomi całkowicie ufają i którą odpowiednio używają, jest nic innego, jak zwykła laska. Powstaje jednak pytanie, czy naprawdę ta „magiczna” laska pomaga rozwiązywać mnóstwo problemów?

Z danych historycznych wiadomo, że ślepi chodzili z laskami od najdawniejszych czasów, a na pomysł, by niewidomi zawsze mieli przy sobie dobrze widoczny znak, czyli tzw. białą laskę, w 1931 roku wpadła pewna paryżanka. Jej zdaniem, z takim znakiem osoby niewidzące byłyby bardziej zauważalne i ewentualnie mogłyby otrzymać większą pomoc. Jak pokazała praktyka, biała laska w doświadczonych rękach niewidomego nie tylko w znacznym stopniu zwiększa jego sa-

modzielność i swobodę przemieszczania się, ale też wzmacnia pewność siebie.

Korzystając z pomocy sąsiadki, dobrych dziesięć lat temu zdecydowałem się zwrócić się do jej znajomych i przeprowadzić mały sondaż. W ankietowaniu wzięło udział siedem osób: pięć niewidomych i dwie osoby słabowidzące. Czterech z siedmiu respondentów wówczas przyznało, że laska używana przez osoby z ograniczeniami wzrokowymi jest świetnym sygnałem dla ludzi widzących, gdyż ci wtedy częściej zwracają uwagę na ludzi niewidomych i pomagają im, jeśli zachodzi taka potrzeba. Nawet kierowcy, kiedy zauważają człowieka z taką laską, natychmiast przyhamowują. Wyglądałoby, że wszystko jest świetnie.

Jednak pozostali dwaj rozmówcy nie ukrywali, że nie było im łatwo pokonać bariery i wyjść na ulicę z białą laską. Wstydzili się po prostu brać laskę do ręki, gdyż kojarzy się z kijem żebraka. Ich zdaniem, najlepszym rozwiązaniem jest chodzenie z osobą widzącą, która zechciałaby im towarzyszyć. Natomiast siódmy respondent powiedział wprost: „Hej, kumplu, masz przecież dobrą sąsiadkę, która trzyma pieska. Czy widziałeś ją kiedykolwiek chodzącą z laską? Rzadko? Oto i odpowiedź dla ciebie: dla niewidomego nie ma nic lepszego, niż wierny pies przewodnik, który zastępuje i laskę, i najlepszego przyjaciela”. I wiecie co, w tej właśnie chwili zamyśliłem się – przecież ten człowiek po-



wiedział całkowitą prawdę. Pies przewodnik – to żywa, chodząca i szczekająca istota, mięciutki „Puchatek” i miły psotnik. Wyszkolone psy rasowe są bardzo inteligentne, gdyż prowadzą niewidomych, w razie potrzeby ich bronią, pilnują domów właścicieli, chodzą do sklepów. Czyż to nie wspomniała?

Na pewno tak... Na tym moje rozważania by się skończyły... Gdyby nie błysk w mej pamięci. Przecież pies sąsiadki zupełnie nie odpowiadał cechom psa przewodnika. Suczka o imieniu Lira była mieszańcem, czyli psem nierasowym. Mało tego, została przygarnięta ze schroniska dla zwierząt. Jak opowiadała dyrektor schroniska, byli właściciele suczki bili ją, rzucali w nią butami, a takie działania prawdopodobnie negatywnie wpłynęły na jej psychikę. Mimo to znalazł się pewien człowiek, który dał jej prawo do szczęścia, do cieszenia się „pełnią psiego życia” w całym znaczeniu tych słów. A człowiekiem tym, być może nieco skrzywdzonym przez Boga, była moja ślepa sąsiadka.

Obserwując poczynania Liry, czasami bywałem przerażony jej zachowaniem i zastanawiałem się, jak moja sąsiadka mogła znieść charakter tak niedyscyplinowanego psa? Suczka nie była głupia i, moim zdaniem, korzystając ze ślepoty gospodyni, prowadząc ją ulicą, zazwyczaj szła tam, gdzie chciała i robiła to, co chciała, wlokąc za sobą gospodynię i szczekaniem zastraszając przechodniów. Trudno zrozumieć, kto kogo wyprowadzał na spacer. Dlatego przestraszeni przechodnie nieraz zganili czy nawet przeklinali psa i jego właściciela. Czasami trudno nawet zrozumieć, kto w naszych czasach bardziej potrzebuje kagańca: psy czy ludzie...

Cóż, pozostaje tylko życzyć, by w przyszłości wszyscy bylibyśmy bardziej wyrozumiali wobec siebie... Ale nie odbiegajmy od tematu. Prawdę mówiąc, kiedy widziałem tego szalejącego, radosnego pieska, który liżał rękę swojej gospodyni, gdy ta wracała do domu, a ona głaszcząc go serdecznie uśmiechała się, to myślałem sobie, że jednak pasują do siebie jak ulał..

Sąsiadka twierdziła, że czasami na ulicy nawet słyszała pochwały, takie jak na przykład: „O, spójrzcie, jak śmiało ta kobieta idzie z psem. Niewidoma, a tak daleko doszła. Pewnie to dzięki mądrym zwierzętom”. Jak rozumowała moja znajoma, najważniejsze jest uczyć, a nie tresować psa. Potwierdzają to również psycholodzy, którzy twierdzą, że tresura – to dzięki refleksom psa „wykute” polecenia, które on tylko wykonuje i najczęściej w takich warunkach, w jakich był szkolony. Tymczasem uczenie – to współpraca z psem, kiedy pragnienia właściciela są mu przekazywane i myślami, i mową, i gestami. Ale zaufanie między psem a jego opiekunem powinno być wzajemne.

Statystycznie najwięcej niewidomych mieszka w miastach, gdyż łatwiej jest tu znaleźć pracę, na decyzję o zamieszkaniu w mieście wpływają też inne czynniki. Moja sąsiadka z psem też mieszkała w wileńskiej twierdzy dla niewidomych i słabowidzących, którą można by po prostu nazwać Grabniakiem (po lit. Skroblynas od ulicy Skrobly) – powstałym jeszcze za czasów sowieckich osiedlu mieszkaniowym stolicy. Mieści się tu m.in. Litewska Biblioteka Niewidomych, Centrum Usług Społecznych na Wilczej Łapie, świadczące usługi socjalno-kulturalne,



domy kultury, spółka „Liregus”, w której do produkcji wyrobów elektroinstalacyjnych zatrudnionych jest wiele osób ślepych itd.

Jednak niewidomi w miastach wciąż borykają się z różnymi nieoczekiwanymi problemami, zwłaszcza ci, którzy mają psy. Chociażby na przykład z lukami w przepisach dotyczących trzymania zwierząt w Wilnie. W postanowieniach ogólnych wskazane jest, że zasad powinny przestrzegać wszystkie osoby fizyczne i prawne. Właściciele zwierząt, w tym osoby niewidome, mogą wyprowadzać psów tylko na specjalne place-wybiegi dla psów czy polany, poza tym, muszą posiadać odpowiednie środki i natychmiast sprzątać odchody po zwierzęciu. W przypadku odmowy osoby takie ponoszą odpowiedzialność zgodnie z Kodeksem wykroczeń administracyjnych. Istnieje też więcej podobnych luk, których w Wilnie do tej pory nie rozwiązano...

Poza tym istnieje też więcej paradoksalnych faktów, które czasami wywołują uśmiech i skłaniają do zastanowienia się, co jednak jest lepsze: pies czy laska. Pamiętacie, jak na początku wspomniałem, że badacze i czterech moich respondentów twierdziło, że niewidomi w pełni ufają lasce, która jest świetnym znakiem dla innych osób, gdyż właśnie na nią więcej ludzi zwraca uwagę? Niestety, ale jestem zmuszony was za-

smuć. Niegdyś w dniu Białej laski, czyli 15 października, przeprowadzony pewien eksperyment zaprzeczył skuteczności laski. Wszak aby zwrócić uwagę społeczności na problemy niewidomych, postanowiono zorganizować akcję, podczas której niewidomi z białymi laskami próbowali przejść przez ulicę. Jak wiadomo, zgodnie z przepisami ruchu drogowego kierowcy powinni przepuścić niewidomych z białymi laskami czy osób na wózkach inwalidzkich nie tylko na przejściach dla pieszych, ale też w każdym innym miejscu ulicy. Jak opowiadali dziennikarze obserwujący projekt, na szosie Liepojos w Kłajpedzie, gdzie przy centrach handlowych odbywała się dana kampania, samochody z poszanowaniem zatrzymały się tylko jedyny raz – gdy machając białymi laskami na ulicę wyszli wszyscy osiem uczestników akcji. Natomiast na pojedynczych niewidomych kierowcy po prostu nie zwracali uwagi!

Czyż więc nie lepiej dla osoby niewidomej mieć psa, który – jak Lira – swoim głosem i niespokojnym zachowaniem, być może także i wyglądem, byłby w stanie nie tylko zwrócić uwagę kierowców samochodów, by ci przepuścili niewidomego, ale także współczuć, bawić, rozmawiać, bronić swojego właściciela? Przecież czasami „serce dostrze-ga to, czego nie widzą oczy”. ●





I

SZKODA, ŻE PEJZAŻ ZA OKNEM nie zmienia się zbyt często. Żłociste korony drzew przebijają niebo, czasem chmury zanoszą się płaczem, czasem słońce próbuje pokazać nieśmiało twarz. Jesień w tym roku zadziwiająco zmienna i nie sprzyja dobremu humorowi. Ja, wbrew wszystkiemu, lecę jak na skrzydłach. Te skrzydła wyrosły u mnie za plecami wraz z początkiem mojego powrotu. Wierzę, że nie opadną tak szybko.

Zostaje zaledwie 900 kilometrów. Nie będę więcej za kierownicą, przyszła kolej na mojego towarzysza losu. Mogę spokojnie pograć się we wspomnienia minionych miesięcy. Jednak w zamian pograżenia się w błogim letargu biorę długopis, kartkę (nie laptop!) i piszę. Wygląda na to, że nie pamiętam, jak to się robi. Mocno suche dłonie kurczowo trzymają długopis, nie poznają swojego pisma. Na lewej ręce plaster, ktoś z pracy miał dziecięcy, w rybki. Wszystko mnie teraz śmieszy i bawi, a przecież tak niedawno było inaczej. Nie było źle. Nie ma warunków, do których człowiek się nie przyzwyczaja. Najtrudniejsze pierwsze tygodnie, potem da się żyć w takim tempie. Czasem się tęskniło za ciepłym domowym obiadem albo swoją poduszką, na której głowa czuła się lżejsza. Poczucie oddali przynębia, wreszcie tak często słyszane słowa „świat jest mały i ciasny” traci sens, bo kładąc głowę na dość twarde posłanie, świat staje się nie do zniesienia

przestrzenny. Duża klatka dla bardzo małego ptaka, a poza klatką pustka. Dobrze, gdyby tak w tej klatce sobie odpoczywać. Kto wyjeżdża na zarobki ma na celu pieniądze. Dużo pieniędzy — dolary, euro, funty, franki... Każda z tych walut stanowiły pręt takiej klatki, w której się spędziło prawie pięć lat.

Odkładałam długopis. Trudne to pisanie, w takich warunkach szczególnie. Myślami już jestem gdzieś przy stole z gorącym obiadem. Ostatni nasz posiłek to kawa ze stacji i dwie kanapki z serem i szynką. Po takim lekkostrawnym obiedzie staram się chwilę zdrzemnąć pod kojący dźwięk walizek turlących się w bagażniku. Czy to ja wracam z tyloma rzeczami? Nie mogę w to uwierzyć.

Nie śpię jednak. Już jutro wszystko się ujawni w nowych barwach. Nadchodzi złota, wileńska jesień, a to najlepszy był pomysł wrócić na ojczyznę w taką piękną porę roku. Dzieci idą do szkoły, a ja... od nowa zaczynam życie w rodzinnych stronach. Nie tęsknota mnie rozwaliała na emigracji. Nie napięty grafik pracy. Nie brak bliskich osób. Zwaliło mnie z nóg poczucie utraty wolności. Zawsze myśli moje krążyły wokół teorii, że tylko z dala od domu człowiek staje się wolny. A tak naprawdę jest zupełnie inaczej. Czuję wolność, mając możliwość wrócić do domu.

Czy aby do domu? Na ojczyznę tak, ale „dom” trzeba będzie zbierać po kawałeczku od nowa. Na szczęście, coś z tych zarobków

mam, może wystarczyć na mały swój kąt w spokojnej dzielnicy miasta. Reszta jakoś będzie. Teraz umiem nie przejmować się odległymi troskami a cieszyć się chwilą. Tak nauczyła mnie koleżanka w pracy, która podczas przerwy opowiadała, jak to dobrze wreszcie nie płynąć pod nurt. Ona, inaczej niż ja, czerpała satysfakcję z emigracji. Kiedy żegnała mnie, przyznała jednak niespodziewanie, że mi zazdrości tego wyjazdu. Jeśli wróci kiedyś do rodzinnego miasteczka na Ukrainie, na pewno napisze książkę o tym niełatwym życiu poza domem. Ale prawdopodobnie i tu ją wyprzedzę.

II

Nie udało mi się pokonać ociążałych powiek. Nawet coś mi się śniło. We śnie czuć było zapachy. Unosząca się woń poranka i parująca woda w stawie nieopodal domu. Spaceruję boso, trawa skoszona, chodzi się przyjemnie. Wnet gdzieś w oddali widzę pociąg. Dziwnie, nie ma tu przecież żadnych dróg kolejowych. Rozumiem jednak, że jest to sen, a we śnie wszystko jest możliwe.

Kiedyś myślano, że taki sen zwiastuje drogę. Teraz już wiem, że drogę powrotną. Podobny sen mi się śnił kilka dni przed wyjazdem. Tylko zamiast stawu było centrum handlowe i masa ludzi, prawie jak na rynku. I tu wnet wyłania się głośny, brudny i dość stary pociąg. Nazajutrz w moim wynajmowanym pokoju stała spakowana walizka. I jak tu nie wierzyć w sny?

Pogoda za oknem się zmieniła. Krople na szkle samochodowym wyschły, słońce praży na całego. Rozumiem, że to już Litwa. Znane litery nieśmiało witają pędzących kierowców, głośne, czasem śmieszne reklamy zapraszają na zakupy, do kina, wypróbować swojego szczęścia w loterii. Nie wiem, czy możliwe wygrać coś bardziej wartościowego niż ten powrót. Do domu już całkiem blisko. Wszystko wydaje się inne, ale tak swojskie. Tu nawet barwy są bardziej soczyste, powietrze bardziej czyste. Próbuję policzyć, ile zostaje do punktu końcowego (godzina, dwie?) i mimowolnie rozpląwam się w błogim uśmiechu.

Teraz już będzie dobrze. ●





Karina Tylingo

Serce stolicy

OBUDZIŁAM SIĘ WŚRÓD MĘŻCZYŹN. Łagodnie, z wewnętrznym ciepłem w oczach, spogląda na mnie Jesienin. Obserwuje mnie Dostojewski opierając się w zamyśleniu o ścianę, a Majakowski patrzy na mnie zdeterminowaną twarzą. To prawda, że naprzeciukowo z okładek patrzą nie tylko portrety znanych mężczyzn, ale także kobiet. Achma t owa, Cuietajewa i nasza ukochana Salomea Neris.

Nie zdając sobie sprawy, kto tak chaotycznie rozrzucił książki, leniwie oparłam się o „kóźko“, jeżeli można je tak nazwać. Po spędzeniu ostatniej nocy na starej kanapie, zdałam sobie sprawę, że wolę spać na podłodze. Wstaję i odciążam wyblakłe pomarańczowe zasłony, padają na mnie promienie porannego słońca. Świeży, ciepły wiatr od otwartego okna delikatnie gładzi moją twarz.

Inspiruje mnie wiosenna świeżość i otacza mnie przyjemne uczucie wolności i odrodzenia. Przez chwilę wciąż podziwiam rosnące na parapecie petunie i zgiełk miasta. Potem boso staję na zimne deski podłogi, z których już się ściera farba, siadam na brązowym fotelu. Stawiam na nim stopy i rozpatruję lakierowane na czarno paznokcie. Nagle sprężyna ubija się boleśnie w moje udo i podskakuję. W końcu miejsce tej kanapy jest na wysypisku. Pocieram bolące miejsce i postanawiam poszukać cioci Natalii.

Znajduję się w długim korytarzu. Drobne motywy żółtych kwiatów na ścianie przemykają przed oczyma. Na suficie od przeciągu huśta się stara lampa.

– Ciociu Natalio, gdzie jesteś? – krzyczę, ale jedynie mój głos odbija się echem od autentycznych ścian w czteropokojowym mieszkaniu.

Okazuje się, że jestem sama w mieszkaniu. Powoli idę do kuchni, słysząc stamtąd tykanie zegara, spoglądam na strzałki w stylu vintage. Jest prawie dziesiąta rano. Cóż, dobrze dzisiaj się wyspałam. Ziewając odkręcam kran zlewu kuchennego i umyвам twarz zimną wodą. Czuję się senna i zmęczona. W oczach na chwilę ciemnieje i nagle chwytam się rogu stołu. Słyszę, jak pada wazon na podłogę i rozpadają się odłamki. Mrugając i wdychając powietrze siadam na stołku. Nie od razu rozumiem, co się stało. Byłam jakby ogarnięta dziwnym poczuciem lekkości i upadku. Prawda, to nie pierwszy raz, staram się zwracać na to jak najmniej uwagi, ale niepokój wciąż we mnie tkwi.

Kieruję wzrok i myśli w stronę rozbitego wazonu. Cóż, na pewno będzie trzeba to zrekompensować, dopóki ciotka nie wróci do domu. Jeżeli wspomnienie mnie nie zawodzi, ten wazon został подарowany przez jednego z jej fanów, Włocha. Pamiętam, kiedy się chwaliła prawie całej rodzinie, że w końcu znalazła odpowiedniego dziada i święto w końcu odwiedziło i jej dom. Niestety, zarówno święto, jak i Włoch okazały się chwilową radością w życiu Natalii. Charyzmatyczny, przystojny i dzielny mężczyzna był żonaty, a wazon z włoskiej porcelany nawet nie przypominał porcelany, ale dla kobiety miał pewne znaczenie symboliczne. Więc to jeszcze bardziej pogarszało sytuację.

Zdałam sobie sprawę, że muszę znaleźć coś specjalnego, chociaż w kieszeniach uczennicy nie tkwiły dziesiątki banknotów.

Zebrałam odłamki, zostawiłam gotujący się imbryk i poszłam do swego pokoju się ubrać. Otworzyłam starą, nie rozładowaną jeszcze walizkę. Dominowała w niej gama ciemnych kolorów, które nie były szczególnie odpowiednie na gorące letnie dni w stolicy, zwłaszcza w samym centrum. Minęło zaledwie kilka dni, a ja już się stęskniłam za chłodem i świeżością jezior Trockich. Czasami się zamyślałam. Przed oczyma powstaje mi krajobraz pokryty śniegiem i lodem, a latem – łagodny, ścielący się wzdłuż wyspy zamkowej. Prawdopodobnie zawsze będzie nas pociągało to, skąd pochodzimy. Ale przecież nie przyjechałam do Wilna, żeby wzbudzać nostalgię, więc muszę skierować swoje myśli w inną stronę.

W końcu na dole walizki znalazłam białą bawełnianą sukienkę, ozdobioną małym wzorem maku. Prosta sukienka harmonijnie komponuje się z moimi długimi, malowanymi na popielaty kolor włosami. Jeszcze kilka razy okręcam się obok lustra, w kosmetyczce znajduję tani tusz do rzęs i różowy rumieniec. Odkładam kosmetyki na chwilę, bo słyszę gotujący się imbryk. Po zaparzeniu i napiciu się herbaty, minimalnie podkreślam rysy twarzy i tańcząc korytarzem wychodzę z mieszkania gotowa na poznanie labiryntów Starówki.

Chodzę po słabo mi znanych ulicach i zakamarkach. Nie rozumiem, co czuję. Jestem przytłoczona otoczeniem Starego Miasta,

zgiełkiem, rozprzestrzenianiem się luksusu, który emanuje niematerialną historią. Fascynują mnie brukowane drogi, kolorowe, wyróżniające się budynki, które wydają się mieć ducha. Idę nie szybko, ale moje oczy przesuwają się od jednego obiektu do drugiego, nie mogę wszystkiego dokładnie obejrzeć. Gdzieś się śpieszę, ale sama nie wiem gdzie. Nie czuję kruchości tej chwili, w mojej głowie panuje chaos.

Po drodze dostrzegam misternie ozdobioną kwiaciarnię. To, co od razu rzuca się w oczy, to stojący na blacie wazon w kolorze mosiądzu z klapką przy uchwycie oraz wyrzeźbione na nim srebrne drzewo. Zaraz po wejściu do sklepu wita mnie uśmiechnięta sprzedawczyni, płacę za nietypowy wazon i kilka czerwono-białych goździków. Dostarczę je, gdy wróci ciocia Natalia.

Robi mi się duszno, więc postanawiam oderwać się od centrum miasta i iść w stronę Ogrodu Bernardyńskiego. Po drodze dręczą mnie różne myśli, w tym mieście czuję się obcą i nieatrakcyjną. A przecież planowałam wiązać przyszłość z tym miastem, widziałem w nim coraz więcej perspektyw. Tylko teraz, jako biedna uczennica, wędruję ścieżką parku.

Na ławce siedzą dziewczyny w moim wieku, widzę kpiący uśmiech i odkrywczе spojrzenie. Zawstydzam się i rumienię się, jakbym zrobiła coś złego. Zdaję sobie sprawę, że nie dorównuję tym pięknym dziewczynom stolicy, więc opuszczam oczy i przyspieszam kroku. Jeszcze mocniej ściskam bukiet kwiatów i przytulam wazon. Wkrótce dostaję cios w bok. Upadam. Mija mnie przeklinający mężczyzna. Słyszę tylko fragmenty frazy: „... głupia dziewczyno, gdzie leziesz?”. Gdy tylko próbuję wstać i naprawić



torebkę, która spadła mi z ramienia, przed oczami błyska drewniana laska z głową żelaznego wilka zamiast rączki.

– Proponowałbym być bardziej ostrożną i czujną – słyszę kogoś mówiącego.

Przedemną stoi mężczyzna w starszym wieku, który szczepia moją torebkę z jej cienkim paskiem i podaje. Przez chwilę jestem zdezorientowana. Torebkę naprawdę próbowano otworzyć. Ale teraz nie mogę wypowiedzieć nawet słowa podziękowania. Onieśmiałam jego surowy wygląd, ale jednocześnie budzi szacunek.

– Emmm... dziękuję Panu bardzo. Naprawdę... – ledwo wypowiadam.

– Proszę, kochanie mężczyzna opierając się o swoją laskę z głową żelaznego wilka mruga okiem zaciągniętym białą mgiełką.

– Intuicja mi podpowiada, że nie jesteś miejscowa. Czy nie zdradza ona starego człowieka?

– Tak, zatrzymałam się tu u cici. Tymczasowo. W przyszłym roku ukończę szkołę i planuję rozpocząć studia w Wilnie. Przynajmniej planowałam...

Starzec do mnie się uśmiecha, rozgląda się dookoła i odwraca wzrok w dal tak, jakby kogoś szukał. Po tym mówi:

– Nie musisz niszczyć swoich pragnień według czyichś zachcianek. Jeżeli nawet wyglądają silniejsze.

– Spodziewałam się czegoś innego, przynajmniej, że ludzie będą bardziej gościnni, bardziej tolerancyjni. Wie Pan, jak to się mówi...

Czuję się trochę nieswojo i wcale nie rozumiem, dlaczego mówię to wszystko nieznanemu. W końcu mu ufam.

– Tolerancja nie istnieje, kiedy się o niej mówi, ale kiedy jest stosowana w życiu – mówi

siwowłosy mężczyzna obracając kij w dłoniach. Błyska pysk wilka, a na jego palcach dostrzegam dziwne tatuaże.

– Teraz ludzie przechodzą przez trudny okres, może dlatego miasto wydaje Ci się obce. Przecież ty również je tworzysz, więc szukaj serca stolicy. Co więcej, nie bój się czasami wyglądać głupio. Głupota jest lepsza, niż naiwność. Głupiec może wyciągnąć wnioski ze swego błędu, a naiwny nadal będzie miał nadzieję, że te same grabie trafią trochężej.

Ziemia porusza się pod stopami. Zaczyna kręcić się w głowie, czuję się jak we śnie. Nie, tylko nie teraz. Muszę się postarać wrócić do domu, zanim samopoczucie się nie pogorszy. Kąciem oka dostrzegam, że miejsce, w którym stał nieznajomy, jest puste. Może mi się zdawało? Czy to kolejny wybryk mojej choroby? W takich chwilach zdaję sobie sprawę, że pewnego dnia nadejdzie czas, kiedy będę sobie zazdrościć rzeczywistości i jasności myśli.

Po dwóch godzinach czuję się lepiej. Prawda, jeszcze boli mi głowa, ślaniam się idąc. W kuchni ciotka brzęczy garnkami. Dzisiaj wróciła, jak nigdy, pięknie ubrana i szczęśliwa.

– Będziesz jadła obiad? – jej głos dobiega z kuchni. – Przyniosłem prawdziwe przysmaki z restauracji. Dziękuję również za goździki i wazon. Nie było potrzeby podejmowania takiego wysiłku.

Przychodzi do mojego pokoju i patrzy na mnie oczyma pełnymi litości.

– Wiesz, gdybyś mi nie powiedziała, nawet nie pamiętałabym tego wazonu, jak i tego nieudacznika – mówi idąc w stronę kuchni. Słyszę po głosie, że kłamie.

Kiwam głową zgadzając się na ofertę lunchu. Próbuje wstać z niewygodnej kanapy, ale przyciąga mnie do niej jakby magnes. Nie, mimo wszystko, jeszcze poleżę. Moja głowa jakby ołowiana, czuję się senna i zmęczona. W myślach migocze obraz nieznanego mężczyzny w parku. Z jakiegoś powodu jego słowa odcisnęły piętno w mojej głowie, ale wątpliwości wciąż powstają...

– Ciociu Natalio, może opowiesz, jaki jest powód dzisiejszej radości? – pytam przychodząc do kuchni, choć szczerze mówiąc nie bardzo mnie to interesuje, bo wiem, że w tym przypadku powód może być tylko jeden.

Policzki ciotki trochę się czerwieńnią i filutecznie się uśmiecha.

– No cóż, nie chcę się chwalić, ale dzisiaj podczas imprezy organizowanej dla księgowych go poznałam! Tak, kochanie, nie patrz tak na mnie. Jestem pewna, że jest inny niż ci wszyscy wcześniej. On jest wyjątkowy!

Oduracam oczy i uśmiecham się. Ciotka – stara panna, zdając sobie sprawę, że mnie tym nie przekona, zmienia temat:

– To jak ci Wilno i poszukiwanie pracy? Może udało ci się już znaleźć pracę na lato?

– Oby wszystko było takie proste. Do kilku miejsc już się zwracałam, zanim tu przyjechałam. W jednym miejscu otrzymałam uwagę na brak doświadczenia zawodowego, w drugim – obiecano „zadzwonimy”. Wczoraj nie chciałam Ci nic mówić. Zobaczyłam wszystkiego wystarczająco. Nic mnie tu nie trzyma. Czuję się niedopasowaną idealistką... – ciężko wzdycham. – Nic, mam jeszcze czas na podjęcie decyzji do przyszłego roku. Pojadę do domu. Jutro wybiorę się na dworzec i kupię bilet.

Wkładając na talerz sałatkę cesarską i przekąskę, ciocia wygląda trochę przygnębiona. Wiem, że jej smutek jest krótkotrwały. Szybko się przyzwyczajają, ale też szybko odpuszcza. Tak naprawdę, nie obchodzi jej tak bardzo, jak stara się to pokazać. Więc zbierając talerze ze stołu i nie chcąc słuchać szczerych słów pocieszenia, zamierzam iść do swego pokoju.

– Nie wszystko przychodzi tak szybko – mówi do mnie.

Tak, zdecydowanie nie wszystko. A czasami w ogóle się nie zdąża. Po wejściu do pokoju, mój wzrok zatrzymuje się na książkach. Im częściej książki opisują jasną przyszłość, tym bardziej zaczynam wątpić w jej istnienie w rzeczywistości.

Piękny dzień. Fajnie. Uwielbiam taką pogodę. Włosy mam uczesane przez wiatr, huśtam nogami siedząc nad jeziorem na skraju mostu. Woda w jeziorze kręci się w kółko, przepływa przez nią gromadka kaczek. Jak nigdy, czuję się podniośle i swobodnie. Wydaje mi się, że nikt nie jest w stanie wyprowadzić mnie z równowagi. Trzymam w rękach papierowy list od ciotki. Nie chcę, ale otworzę go. Znajduję piękną pocztówkę ze zdjęciami architektury Wilna i napisami drobnym drukiem, że będzie na mnie czekać w stolicy. Znajoma Natalii zainteresowała się moimi pracami ceramicznymi. Strach mnie ogarnia, a co jeżeli znowu się nie uda? Jeżeli nie zdecyduję się na tą przygodę, nie odnajdę ukrytego serca stolicy. ●

Przełożyła Krystyna Użenaitė





Faustyna Zawalska Gra ze śmiercią

CIEŻKO JEST MI MÓWIĆ, a jeszcze trudniej jest mi opowiadać o rzeczach, które mam ochotę wymazać z pamięci. Te wydarzenia jednak tak głęboko wryły się w moją głowę, że nie potrafię od nich uciec. A przecież wszystko zaczęło się tak niewinnie...

Pochmurny dzień nie zapowiadał niczego dobrego, a do tego jeszcze ten wewnętrzny kryzys, który od dawna mnie gryzł i którego nie mogłam się pozbyć. Depresja. Wpadłam – dopadła mnie i nie chciała puścić za żadną cenę. Rodzice próbowali coś z tym zrobić, ale na próżno. I właśnie tego dnia, idąc na dworzec kolejowy w Wilnie, skąd miałam rutynowo wracać do domu, ujrzałam na tablicy ogłoszeniowej wiadomość. Nie pamiętam dokładnie jej treści, ale sens z grubsza był taki, że pewna organizacja zapraszała nastolatków na „odwyk” po depresji i innych załamaniach psychicznych, dosłownie – zapraszała niedoszłych samobójców. Brzmiało to interesująco, szczególnie, że nie trzeba było płacić, a uśmiechający się ze zdjęcia renomowani specjaliści zapewniali, iż metoda jest skuteczna, a do tego kurs „odwykowy” potrwa zaledwie dwanaście dni. Nie wyobrażałam sobie, w jaki sposób potrafiliby to zrobić w tak krótkim czasie – byłam w tym bagnie od miesiąca a końca mojej depresji nadal nie było widać. Ale wiedziałam, że rodzicom na pewno się spodoba ten pomysł, więc po powrocie do domu opowiedziałam im i natychmiast się zgodzili na mój udział w tym kursie.

Kiedy nadszedł dzień wyjazdu, byłam całkowicie gotowa. Autokar czekał na nas obok hotelu „Panorama”, skąd miał nas odwieźć w nieznanne miejsce. Rodzice byli tak tym wszystkim podekscytowani, iż pewnie – gdyby była taka możliwość – sami pojechaliby zamiast mnie. Cieszyli się też, że trafiłam do tej grupy, bo przy rejestracji okazało się, iż system jest bardzo prosty – dwanaście dni, dwanaście osób. Udało się, chociaż dopisałam się do listy jako ostatnia. Obok naszego autobusu stała gromadka uśmiechniętych rodziców z naburmuszonymi nastolatkami. Na pewno takimi samymi, jak ja, ofiarami losu.

Autokar był cały czarny i do tego z przyciemnionymi szybami. Może i lepiej? Czym mniej będę widziała, tym lepiej będę się czuła. Nagle dostrzegłam, jak podjeżdża pod hotel nowiutki mercedes i z niego wysiada przystojny chłopak w moim wieku, a za nim starszy mężczyzna, zapewne jego ojciec. Początkowo nie potrafiłam określić, czy przyjechali do hotelu, czy, aby dołączyć do naszej grupy odwykowej, ale po chwili przypomniałam sobie coś, co uprawiło mnie w zdumienie. Ten chłopak to przecież Albert! Kiedyś uczyliśmy się z nim w tej samej szkole, ale gdy jego tata zrobił karierę medyczną i zarobił kupę forsy, nasz kontakt się urwał i więcej nigdy go nie spotkałam. Aż do dzisiaj... On i depresja? Czego może mu brakować do szczęścia?

Kierowca autokaru wyszedł i dał znak ręką, że za chwilę odjeżdża i pasażerowie mają zająć

swoje miejsca. Po udzieleniu mi odpowiednich wskazówek – na co mam uważać, ciepło ubierać i czego nie jadać – rodzice odeszli, ja zaś usiadłam do tego czarnego olbrzyma. Ukradkiem zerknęłam na Alberta. Jego ojciec coś mu tłumaczył, potem klepnął go po plecach i usiadł do samochodu, zaś Albert natychmiast zajął miejsce w autokarze.

Ruszyliśmy tak łagodnie, że tego nawet nie poczułam. Poza tym kompletnie niczego nie widziałam. Przez ciemne szyby nie przenikał ani jeden promyk słońca, nie dało się dojrzeć żadnych szczegółów otaczającego świata. Wydawało się, iż jesteśmy w jakimś tunelu, w którym czas się zatrzymał. Nie wiem, czy to było działanie jakichś środków, atmosfery czy specjalnie podróż tak się wydłużyła, że po jakimś czasie każdy z nas zasnął.

Obudziłam się, gdy autokar raptownie zahamował i stanął. Drzwi się otworzyły i wszyscy, nie spiesząc się, wyszliśmy na zewnątrz. Widok był niesamowity. Naszym oczom ukazał się piękny, modernistyczny budynek. Miał pięć pięter, cały był ze szkła i raczej sprawiał wrażenie olbrzymiego laboratorium niż sanatorium dla chorych na depresję. Poszliśmy w kierunku wejścia. Było nas zgodnie z zasadami dwunastu: sześciu chłopców i sześć dziewczyn, ale nikt nie rozmawiał ze sobą, każdego przytłaczały jego własne problemy. Byłam pewna, że wszyscy się rozgadają, kiedy będziemy siedzieć w kręgu i dzielić się swoim doświadczeniem. Przynajmniej miałam taką nadzieję.

Gdy weszliśmy do budynku, naszym oczom ukazał się olbrzymi hall. Na ścianach wisiało dwanaście potężnych ekranów, a na każdym z nich były przedstawione dokładne dane osobowe jednego z nas: imię, nazwisko, wiek, płeć,

powód, dla którego jest na tym kursie „odwykowym”, dane medyczne... Trochę to dziwne, ale co mi tam – nie mam niczego do ukrycia! Nagle na niewysokim balkonie ukazał się... ojciec Alberta. Był w białym kitlu i wyglądał trochę jak szalony uczonek, który jest o krok od sukcesu, z jakiegoś filmu fantastycznego klasy B. Przywitał się z nami, powiedział, iż cieszy się, że to właśnie my jesteśmy tutaj i powiedział, iż tego nie pożałujemy.

Po tych słowach do hallu weszły pielęgniarki i zaprowadziły nas do oddzielnych pokoi, uspokoiły i pytały, czy niczego nam nie brakuje. Ich zainteresowanie wyglądało dosyć sztucznie, ale starałam się być z nimi uprzejma. Poza tym obecność ojca Alberta – Tadeusza – uspokoiła mnie. Zasnęłam praktycznie momentalnie.

Dzień Pierwszy. Po śniadaniu udaliśmy się do hallu. Doktor Tadeusz już na nas czekał, ale jego twarz nie zwiastowała niczego dobrego. Jego uśmiech był inny, jakiś specyficzny. Zapytał, jak się czujemy i po chwili zmienił ton. Zaczął mówić spokojnie, ale jego słowa cięży jak brzytwa. Powiedział coś, co mnie dosłownie zamurowało. A mianowicie – nie będzie pogaduszek, zwierzeń i tych wszystkich – jak to ujął – niepotrzebnych łez. Będą działania i wyniki. Podkreślił, że nasze problemy biorą się z tego, iż nie potrafimy cenić życia, a eksperyment, w którym weźmiemy udział, udowodni tę tezę. Od dzisiaj będziemy wykonywali każdego dnia zadania, które wskażą silnych psychologicznie, natomiast ten, który okaże się tego dnia najslabszy psychologicznie najslabszy opuści grę. Grę? Tak, tak właśnie powiedział. Obawiałam się najgorszego. Tadeusz dodał, że ostatniego dnia zostanie tylko jedna osoba, czyli zwycięz-



ca. Ale co z tego będzie miała? Nie wiem, ale nieoczekiwanie nabrałam pewności, iż stąd już nie wyjdę, tak po prostu... Pielęgniarki w nocy pozabierały nam telefony i inne rzeczy osobiste, wszystkie pomieszczenia były monitorowane przez kamery wideo, zaś przy każdym wyjściu stali barczyści strażnicy. Wyglądało to bardziej na więzienie niż sanatorium, a my – na ofiary jakiegoś psychologicznego eksperymentu.

Pierwsze zadanie było dosyć dziwne. Zamknięto każdego z nas w osobnych pokojach, przypominających celę jakiegoś psychopaty. Mieliśmy tam siedzieć przez cały dzień. Drzwi nie dało się otworzyć, zostawało tylko okno. Ale to było piąte piętro, więc nie dało się przez nie uciec. Doszłam do wniosku, że jesteśmy chyba szczurami doświadczalnymi. Tak więc jeżeli będziemy słabi, to... Nie dokończyłam tej myśli, bo nagle usłyszałam, jak w sąsiednim pokoju szkło rozbija się na milion kawałków i coś spada na ziemię jak worek kartofli. Okazało się, że to dziewczyna z celi obok. Nie wytrzymała i rzuciła się w okno. Nie byłam w stanie wyjrzeć w dół i spojrzeć na nią...

Pierwszy dzień, pierwsza ofiara. A więc każdego dnia ktoś miał zginąć. Na tym polegała Gra.

Dzień Drugi. Wszyscy się boją, w głowach pustka po wczorajszym dniu, myślenie przychodziło wszystkim nam z wielkim trudem. Na ekranach w hallu pojawiło się więcej jakichś danych, formułek i wykresów, a jeden z nich został wyłączony. Czarny monitor, spoglądający na nas bezemocjonalnie, działał dołująco.

Kolejne zadanie wymagało wytrzymałości. Kazali nam wypić szklankę wody i zacząć biegać. Szybko opróżniłam zawartość szklanki

i ruszyłam. Czasami ćwiczyłam, więc nie sprawiało mi to początkowo żadnej trudności. Po jakimś czasie zaczęłam odczuwać nudności. Na pewno to przez tę wodę. Po chwili zorientowałam się, że mam halucynacje i majacze. Nie tylko ja, pozostali również. Na biegni było mnóstwo słupów, które sprawiały wrażenie ludzi. Ostatkiem sił omijałam je, ale jakaś dziewczyna nieoczekiwanie z krzykiem rzuciła się na słup. Siła uderzenia była tak duża, że padła martwa z roztrzaskaną głową.

Zadanie przerwano.

Dzień Trzeci. Nikt nic nie mówił, ale wiedziałam, że każdy z nas obudził się tego ranka z myślą, iż może to być jego ostatni dzień. Ale nadal żyłam. Zaprowadzono nas do Sali. W jej głębi stało osiem wyciętych z tektury podobizn ludzkich, a na stołach przed nami leżały noże. Nikt nie potrzebował dodatkowych wskazań. Zajęliśmy stanowiska według własnego widzimisię i zaczęliśmy rzucać nożami do tekturowych celów. Niektórzy trafiali, inni – nie i słychać było odgłos spadających na podłogę noży. Jacyś ludzie w kitlach chodzili wokół, przyglądali się nam i coś notowali. Miałam ochotę zacząć w nich rzucać nożami, zabić ich wszystkich, ale nie miałam aż tak zimnej krwi. Na razie. Doktor Tadeusz również przechadzał się po Sali i tylko teraz zauważyłam jedną prawidłowość – nie zwracał najmniejszej uwagi na Alberta. To, iż wszystkim kieruje – było oczywistą oczywistością, a teraz obserwując go doszłam do wniosku, że steruje Grą w taki sposób, aby to jego syn zwyciężył. To było niesprawiedliwe.

Nagle zatrzymał się przy dziewczynie, która jeszcze ani razu nie trafiła do celu. Złowrogi

uśmiech pojawił się na jego twarzy. Zrozumiałam, iż to koniec zabawy. Jeszcze nie została przelana krew. Rozkazał wszystkim przestać i ustawić się w pary. Do mnie dołączył się jakiś chłopak, który sprawiał wrażenie normalnego. Człowieka, któremu można zaufać. Tadeusz dalej stał przy dziewczynie. Kazał jej wybrać kogoś. Była razem z koleżanką, więc wskazała na nią. Koleżanka miała wstać i zakryć swoim ciałem tekturowy cel. Podobnie mieliśmy zrobić i my. Jedna osoba z każdej pary miała stanąć przy celu, druga miała rzucać nożem. Chłopak z mojej pary, Augustyn, dość dobrze rzucał, a ja nie miałam ochoty kogoś zabić, więc postanowiłam być celem.

Wszyscy kolejno zaczęli rzucać noże. Augustyn omal nie trafił mnie w głowę, bo nóż wbił się w cel nade mną, odcinając parę kosmyków włosów. Wszyscy jednak patrzyli w stronę niezdolnych koleżanek. Ta słabsza po długich wahaniach rzuciła nożem i... trafiła między oczy swoją przyjaciółkę. Trysnęła krew, bezwładne ciało dziewczyny opadło na podłogę. Zgroza zawisła w powietrzu. Dziewczyna, która tak niefortunnie rzuciła nożem, dostała ataku hysterii, zaczęła krzyczeć, płakać, bała się podejść do ciała swojej przyjaciółki i przynajmniej wyciągnąć nóż...

Wiem jedno – dzień się skończył, krwawa Gra dostała kolejną ofiarę, a ja nadal żyję.

Dzień Czwarty. Gdy tylko wstałam, zaczęłam przypominać sobie wszystkie oglądane w swoim życiu horrory, aby chociaż w jakimś stopniu przewidzieć kolejne zadanie i przygotować się na nie. Ale poranek tego dnia był niezwykle spokojny. Spotkałam przy śniadaniu Augustyna i trochę z nim pogadałam. Był mi-

łym nastolatkiem i niezmiernie się cieszył, że zostałam przy życiu.

Po chwili podeszła do nas pielęgniarka i zabrała go ze sobą. Zaczęłam się niepokoić, bo nie wróżyło to niczego dobrego. Odszedł i zostałam sama. Dzisiaj nie otrzymaliśmy żadnego zadania, więc wszyscy mieli czas na odpoczynek.

Raptem rozległ się okropny krzyk, który zwiastował tylko jedno – coś się stało Augustynowi. Wszyscy zamarli i bali się nawet oddychać. W głośnikach usłyszeliśmy głos Tadeusza, który zwoływał wszystkich na apel. Po kilku minutach staliśmy rzędem w halu, naprzeciw ekranów i balkonu, na którym stał doktor Tadeusz. Oznajmił, że przed chwilą próbował sprawdzić, jak działa nowy lek przeciwko depresji, który sam stworzył. Niestety, formuła lekarstwa nie była jeszcze idealna i w wyniku eksperymentu badany zmarł. Ekran z danymi Augustyna zgasł. Oczywiście, wszyscy odetchnęli z ulgą, bo to nie oni stali się kolejną ofiarą.

Wiedziałam jedno – nadal żyję, ale nie mam już towarzysza do rozmów.

Dzień Piąty. Zadanie odbywało się w małej sali gimnastycznej. W centrum było miejsce podobne do areny z podwyższeniem, na którym mieliśmy ze sobą stoczyć walkę na śmierć i życie. Obawiałam się najgorszego. Tym razem nikt nie musiał dobierać się w pary samodzielnie, ponieważ mężczyzna w białym kitlu wskazywał na przypadkowe osoby. Najbardziej bałam się tego, że moją parą będzie chłopak. Ale ustawił mnie z dziewczyną. Była o wiele większa ode mnie i w jej oczach widziałam zwierzęcy instynkt przetrwania. Nie będę opo-



wiała, co ze mną robiła, bo krew ciekła mi i z nosa i z poharatanej twarzy. Nie winiłam jej za to. Postąpiłabym tak samo. Ale nie chciałam umierać, a bronić się nie umiałam. Więc gdy na mnie rzuciła się i próbowała udusić, zaczęłam ją gryźć po dłoniach i ramionach, twarzy, aż trafiłam na szyję... Nie pamiętam, co dokładnie zrobiłam, ale to ona wykrwawiła się i padła martwa. Musiałam wyglądać jak wampir, a moja psychika zaczęła się chwiać. Zabiłam ją, aby żyć. Od tej pory stałam się zimna i niebezpieczna dla innych.

Kolejny dzień minął. A ja nadal żyłam.

Dzień Szósty. Zakończył się bardzo szybko. Z rana znaleziono ciało dziewczyny, która zabiła swoją koleżankę nożem. Okazało się, że podcięła sobie żyły nożem, który ukradła z kuchni. Widok był okropny, ale wszyscy mieli jeden dzień odpoczynku i braku tortur.

Nadal żyłam.

Dzień Siódmy. Pozostało nas mało. Pięciu chłopców i tylko jedna dziewczyna. Czyli ja. Zapowiadało się „ciekawie”. Trudno, ale wiedziałam, że teraz nadszedł czas umierać płci brzydkiej, bo ja nie miałam ochoty umierać wcale. Terapia „odwykowa” rzeczywiście dawała efekty – wszyscy pozostali przy życiu po tych sześciu dniach cenili je ponad wszystko.

Tym razem zadanie było szczególnie niebezpieczne. Trzy samochody i trzy pary. Jeden uczestnik Gry miał siedzieć za kierownicą, a drugi – zostać przywiązany do maski auta. Okazało się, że moją parą był Albert. Oczywiście, stanowiłam teraz zagrożenie i postanowił wyeliminować mnie przy pierwszej lepszej okazji. Do maski przywiązano więc mnie. Le-

żałam na plecach i wpatrywałam się w niebo. Nie mogłam poruszyć się i to paraliżowało mój umysł.

Rozpoczął się wyścig. Samochody były szybkie, wibrację ich ryczących silników czułam całym ciałem. Albert ruszył i miałam wrażenie, że chce mnie zrzucić. Po chwili zaczął ścigać się z innym chłopakiem. To nie była tylko szybkość, od której miałam mdłości, ale auta non stop zderzały się też bokami, co sprawiło, że omal głową nie rąbnęłam w inny samochód. Skończyło się na tym, że przeciwnik Alberta ujechał w drzewo i mieliśmy kolejną ofiarę. Chłopak przywiązany do maski jego samochodu zginął na miejscu. Natomiast nasza ekipa już bez przeszkód dotarła do mety jako pierwsza. Na twarzy Alberta był uśmiech, ale nie cieszył się na mój widok. No i niech... Wiedziałam jedno – nadal żyję.

Dzień Ósmy. Coraz mniej osób i włączonych ekranów. Z rana nie udałam się na śniadanie, tylko przekradłam się do dalszych partii budynku i próbowałam je pozwedzać na własną rękę. Nieoczekiwanie w małym pokoju, którego ścianę zrobiono ze szkła, zobaczyłam doktora Tadeusza i... znanego prezentera telewizyjnego. O czymś żywo dyskutowali i czas od czasu wybuchali śmiechem.

Kiedy wróciłam, okazało się, że każdy z nas dostał list od rodziców. Taki zwykły list na kartce pokratkowanego papieru. Rodzice napisali, iż mają nadzieję na... moją wygraną. Początkowo nie rozumiałam, o co im chodziło, skąd wiedzą o Grze, ale po chwili dotarła do mnie przerażająca myśl. Doktor Tadeusz nie tylko przeprowadzał na nas medyczne eksperymenty, ale chyba zrobił też z tego wydarzenia reality

show, w którym graliśmy. Tylko nikt z widzów nie domyślał się, że aktorzy w tym programie naprawdę umierają. Opowiedziałam o swoim odkryciu chłopakom. Oczywiście, starannie omijając Alberta. Nie chcieli uwierzyć, ale rozumieli, iż to jest wielce prawdopodobne. Chciałam w jakiś sposób dać znak ludziom po drugiej stronie ekranu, że coś jest nie tak, ale wiedziałam, iż po prostu wytną tę scenę.

Zostało nas tylko pięcioro. Doktor Tadeusz zorganizował imprezę, podczas której każdy z nas będzie musiał wybrać sobie szklanek z drinkiem. W jednej z nich będzie trucizna. Najwyraźniej ojciec Alberta chciał sprawdzić jakość naszej intuicji. Powietrze raptownie zgęstniało, gdy tylko wniesiono pięć szklanek. Wybrałam pierwszą z brzegu. Pomyślałam, że to na pewno w środkowej szklance będzie zatruty napój. W pewnej chwili wszyscy razem opróżniliśmy zawartość. Nie mam zielonego pojęcia, co to było, ale mikstura była odrażająca. Alkohol natychmiast uderzył mi do głowy, z głośników popłynęła muzyka i już nie martwiłam się o nic. Jak we mgle pamiętam, iż któryś z chłopaków nagle upadł i pielęgniarki go wyniosły. No cóż, takie jest życie. Nagle upadłam na genialny pomysł. Oczywiście za sprawą alkoholu. Podeszłam do Alberta. Nie był tak pijany jak ja, ale wyglądał na uradowanego. Po chwili rozmowy przypomniał sobie mnie i wtedy powiedziałam mu, że program jest nieciekawym. Nie dał po sobie poznać, ale widziałam, iż natychmiast zrozumiał, o co mi chodzi. Zaproponowałam mu, by nieco urozmaicić show. Pocałowaliśmy się. Czulałam się zażenowana, ale widzom powinno się to spodobać. A więc dostane szansę na przetrwanie. Trudno, rankingi telewizyjnej oglądalności

potrzebują intrygi i skandali. Nie pamiętam, czym się skończyła ta impreza, ale byłam pewna, że nadal żyję.

Dzień Dziewiąty. Miałam drańskiego kaca. Ale kolejne zadanie było tak szokujące, iż adrenalina natychmiast obudziła mnie z letargu. Na Alberta nawet nie spojrzałam. A co miałam mu powiedzieć? Mogłam powiedzieć wiele, ale nie miałam zamiaru.

We czwórkę poszliśmy na most, który łączył dwa brzegi małego sztucznego jeziora. Most został zawieszony kilkadziesiąt metrów nad taflą wody. Nie miałam ochoty skakać, bo bałam się wysokości i nie umiałam pływać. Jednak nikt nie pytał mnie o zdanie. Każdy z nas miał skoczyć w dół z liną związaną u nóg. Tylko, że u kogoś była ona trochę podcięta, więc miał wpaść z takiej wysokości do jeziora. Ciarki przeszły mi po plecach. Dosłownie całe życie przeleciało mi przed oczami. Na znak wszyscy rzuciliśmy się z mostu. Czulałam się niesamowicie. Chciałam w tamtym momencie mieć skrzydła i pofrunąć jak najdalej. Raptownie nasze liny się skończyły i zwisaliśmy tak, aż zobaczyliśmy, jak jeden z nas nie zatrzymał się, a prosto wpał do jeziora, które było płytkie. Woda zmieniła barwę.

Zabrano nas do budynku, a ja cieszyłam się, iż nadal żyję.

Dzień Dziesiąty. Tylko trzy osoby – Albert, ja i jeszcze jeden chłopak. Zadanie było dziwne, bo zaprowadzono nas na dach Laboratorium, w którym odbywała się Gra. Zadanie polegało na tym, żeby chodzić po krawędzi dachu i nie spaść, jak najdłużej utrzymać równowagę. Od samej wysokości zakręciło mi się w głowie.



Chodziliśmy tak na przemian i wtedy omal nie spadłam. Chyba wmawiałam sobie, że upadnę, ale w ostatniej chwili złapałam równowagę i ruszyłam dalej. I wtedy właśnie ten chłopak poślizgnął się i runął. Nie patrzyłam, czy coś z niego zostało, tylko spokojnie nabrałam powietrza do płuc. Nadal żyłam.

Dzień Jedenasty. Albo ja, albo Albert. Finał już się zbliżał milowymi krokami, a ja planowałam ucieczkę. Nie wierzyłam, że szczęście się do mnie uśmiechnie. Byłam pewna, iż zadanie, które dostaniemy tego dnia, będzie decydujące i najgorsze ze wszystkich, więc mój instynkt samozachowawczy podpowiedział mi, że mam coś z tym zrobić.

Chodząc korytarzami, próbowałam znaleźć miejsce, w którym nie ma kamer. Zauważyłam małą ciężarówkę, która stała przy wyjściu z budynku i miała za chwilę odjechać. Nie zastanawiałam się zbyt długo, tylko biegiem ruszyłam w jej stronę. Wskoczyłam do środka i zdążyłam się schować na sekundę przed tym, jak kierowca zamknął drzwi i ruszyliśmy. Odetchnęłam z ulgą, bo wolność miałam w zasięgu ręki. Jechaliśmy bardzo długo, aż nagle ciężarówka gwałtownie się zatrzymała.

Kierowca otworzył drzwiczki i zaczął rozładowywać sprzęt. Przez całą podróż nie miałam pojęcia, co wiózł, a teraz zauważyłam, że były to różnego rodzaju narzędzie lekarskie. Gdy upewniłam się, iż nikogo w pobliżu nie ma, wyskoczyłam z ciężarówki i zaczęłam biec przed siebie. Zatrzymałam się dopiero w bezpiecznej odległości i zrozumiałam, że jestem w wileńskiej dzielnicy Naujininkai, a ciężarówka stała obok lokalnej przychodni. Dziwnie, ale mimo braku sił ruszyłam przed siebie spokojnym

krokiem. Teraz miałam tylko udać się do domu i się uspokoić. Nieoczekiwanie zauważyłam auto — czarny mercedes, który na pełnym gazie zmierzał w stronę przychodni. Na ucieczkę było za późno, bo moi prześladowcy już mnie zauważyli. Ale nie straciłam zimnej krwi.

Puściłam się biegiem w stronę skrzyżowania. Niestety musiałam stanąć na czerwonym świetle. Zobaczyłam jak na jezdni obok stanęła ciężarówka... którą uciekłam. Teraz rozumiałam, że to był podstęp. Kierowca wiedział o mojej obecności w wozie, a doktor Tadeusz sam zaaranżował ten spektakl z moją ucieczką. Nagle zauważyłam dwóch funkcjonariuszy policji. Podbiegłam do nich i zaczęłam bez ładu i składu opowiadać, co mi się wydarzyło. W połowie zdania przerwał mi Tadeusz, który pospiesznie do nas podbiegł. W białym kitlu i z uśmiechem na twarzy sprawiał wrażenie dobrego lekarza. Zaczęłam krzyczeć, aby mnie ratowali. Nie poskutkowało. Policjanci nie zareagowali. Doktor Tadeusz przekazał mnie jednemu z ochroniarzy, po czym wyłądownołam w samochodzie. Usłyszałam, jak tłumaczył policjantom, że panicznie boję się zastrzyku. Policjanci się uśmiechnęli i już po chwili wracaliśmy do Laboratorium.

Darłam się w niebogłosy, aż Tadeusz nie wytrzymał i rzeczywiście wstrzyknął mi jakąś substancję. Po minucie zasnęłam. Ale żyłam.

Dzień Dwunasty. Obudziłam się ze straszonym bólem głowy. Rozejrzałam się i spostrzegłam, że siedzę w krześle w tym samym pokoju, w którym odbywała się konwersacja między doktorem Tadeuszem i prezydentem telewizyjnym. Naprzeciwko siedział Albert. Jego uśmiech był uroczy, ale miałam ochotę

przyłożyć mu solidnie. I wtedy spojrzałam na stół. Leżał na nim jakiś czarny przedmiot. Rewolwer. A więc mieliśmy zagrać w rosyjską ruletkę. Nie miałam siły, aby otworzyć ust. Albert wziął rewolwer do ręki i wsadził do bębena jeden nabój, po czym zakręcił obrotowym magazynkiem. Sześć strzałów i tylko jeden celny. Moje ręce zaczęły się pocić i nie byłam w stanie ukryć zdenerwowania.

Albert spokojnie wziął rewolwer do ręki i przyłożył do głowy. Po chwili nacisnął spust. Miałam nadzieję, iż padnie martwy, ale nie stało się nic. Dziwnie, że na takie zadanie się zgodził, bo w tej grze Tadeusz nie miał żadnego wpływu na ostateczny wynik.

Albert położył rewolwer na stół i popchnął go w moją stronę. Tak, prawdopodobnie moja śmierć stała teraz obok mnie, ale nie miałam ochoty na spotkanie z nią. Wzięłam do ręki broń i przyłożyłam do głowy. Zagryzłam wargi, a łzy chciały wydostać się na wolność.

Nagle odezwał się Albert i powiedział, że mój pomysł z pocałunkiem był genialny i jego ojciec docenił moją inwencję twórczą. Oczywiście, wypowiedział te słowa, pokrzepiające mnie na duchu, bo był przekonany, iż za chwilę wygra. Pociągnęłam za spust.

Pudło. Żyję. Z krzywym uśmiechem wysłałam rewolwer w stronę Alberta. Chciałam, by się nim wypchał. Wziął go i przyłożył, tak jak wcześniej, do głowy. Pociągnął za spust i wtedy na chwilę cały mój świat zawirował. Zobaczyłam, jak trysnęła krew i Albert padł na podłogę, a w tym samym czasie ściany rozpadły się na miliony kawałków. Tracąc świadomość, zobaczyłam ludzi z karabinami, którzy biegną i coś krzyczą, poczułam, że jakieś mocne ręce podejmują mnie i gdzieś wynoszą.

Obudziłam się w szpitalu na Antokolu, a obok mnie stali zmartwieni rodzice. Niezmiernie się cieszyli, że żyję. Już wiedzieli o wszystkim. Okazało się, iż jeden z policjantów przypominał sobie moją twarz, bo oglądał odcinek show doktora Tadeusza z moją krwawą potyczką i postanowił sprawdzić, czy rzeczywiście wszystko jest ze mną w porządku. Właściwie dzięki niemu żyję. Nieco później dowiedziałam się, że Albert zginął, strzelając sobie w głowę, a doktor Tadeusz i pozostali twórcy makabrycznego reality show staną przed sądem. Ja zaś pod koniec każdego dnia stoję przed lustrem i patrząc w swoje odbicie powtarzam te słowa jak mantrę: Nadal żyję!





**Paweł
Krupka**

Wileńskie niepokoje

OBOK OPOWIADAŃ WYRÓZNIONYCH w konkursie *Wileńska nadzieja*, Wydawca postanowił zamieścić w *Koziółku* także kilka utworów młodych pisarzy z Litwy tworzą-

cych po litewsku i po polsku. Konkurs zawierał bowiem klucz tematyczny i wymuszał na autorach optymistyczne przesłania, rzadko obecne w spontanicznej twórczości

najmłodszego pokolenia Litwinów. Jak się bowiem, Czytelnicy przekonają na kartach opowiadań zawartych w tej części zbioru, w utworach młodzięży dominuje katastrofizm i fantastyka z zabarwieniem grozy, zawierająca miejscami drastyczne sceny przemocy. Dlatego pozwoliłem sobie, nawiązując do tytułu konkursu *Wileńska nadzieja* nadać temu wyborowi nowel korespondujący z nim, a zarazem kontrastujący tytuł *Wileńska niepokoje*.

Traf sprawił, że większość utworów w tej części została napisana przez autorki płci pięknej. Nie był to wybór zamierzony, lecz wynikał z faktu, że młode mieszkanki Litwy, zarówno litewskiej narodowości, jak i wywodzące się z mniejszości narodowych, obecnie chętniej sięgają po pióro niż ich męscy rówieśnicy. Honoru męskiej społeczności literackiej broni zdolny pisarz Augustas Lapinskas. Jak wyżej wspomniałem, utwory tu zebrane, mimo bardzo różnorodnej tematyki i stylistyki, łączy dramatyzm i niepokój. Znamienny jest fakt, że wszystkie powstały jeszcze przed pandemią, we względnie dobrych warunkach życiowych. Stanowi to ważną wskazówkę dotyczącą tendencji rozwojowych i kierunków zainteresowania młodych litewskich pisarzy.

Mamy tu zatem do czynienia z literaturą na pograniczu fantastyki i psychologii, której świat przedstawiony odnosi się bezpośrednio do rzeczywistości otaczającej młode autorki, żyjące we współczesnej, wielkomiejskiej cywilizacji. W niewielkiej i rzadko zaludnionej Litwie brak uprawdzie wielkich miast, ale warunki i styl życia młodzięży nie różnią się przecież zbytnio od panujących w ogromnych

metropoliach. Dwie litewskie autorki, Ugnė Makselytė i Nomedą Griškevičiūtė, debiutowały niedawno w kolekcjach wydawanych dorocznie przez stowarzyszenie Slinktys, promujące młodych artystów różnych dziedzin. Utwory Augustasa Lapinskasa były drukowane w prasie literackiej. Opowiadanie polskojęzycznej Faustyny Zawalskiej, powstałe jeszcze w czasach nauki szkolnej, zostało opublikowane przed kilkoma laty w niezwykle oryginalnym zbiorze *Thriller po wileńsku*, zawierającym opowiadania grozy autorstwa młodych Polaków z Litwy, wydany dzięki wspólnej inicjatywie Polskiego Klubu Dyskusyjnego i młodej polskiej grupy artystycznej Nowa Awangarda Wileńska. Drugą autorką polskiego pochodzenia jest Wilnianka Elżbieta Geben, obecnie studentka Uniwersytetu Warszawskiego, która tu debiutuje drukiem zarówno jako autorka, jak też jako tłumaczka utworów litewskich koleżanek.

Wileńska niepokoje pokazują nietuzinkową wyobraźnię i wrażliwość estetyczną oraz psychologiczną litewskiej młodzięży. Zarówno teksty dłuższe, jak *Język w piwnicy* Elżbiety Geben, czy *Schodziarz* Ugnė Makselytė, jak i pomysłowe miniatury Nomedy Griškevičiūtė oraz Augustasa Lapinskasa czyta się jednym tchem, a w czasie lektury trudno nie poddać się urokowi młodziężcej świeżości w zmaganiach z wybranymi przez autorki ciężkimi, a czasem wręcz drastycznymi tematami. Ten zbiór nowel daje niechybnie pewne wyobrażenie o kulturze i cechach psychospołecznych młodego pokolenia mieszkańców Litwy. Życzę Czytelnikom wiele satysfakcji z lektury tych ciekawych i różnorodnych utworów. ●





ŻYŁ SOBIE KIEDYŚ ALGIMANTAS. Jego ulubionym miastem było Kowno, choć sam mieszkał w Wilnie. Jednak to nie ma znaczenia. Dużo ważniejsze jest to, że mieszkanie Algimantasa znajdowało się na ósmym piętrze bloku z wielkiej płyty. Sowiecki budynek wtapiał się w panoramę dzielnicy Žirmūnai, przypominającą post-apokaliptyczny film. Niewątpliwie, miejsce zamieszkania nie było zbyt atrakcyjne, a jeszcze mniej znośne było to nieszczęsne ósme piętro, na które Algimantas zwykłe wspinał się pieszo. Oczywiście czasami w bloku działała winda, ale mogli z niej korzystać tylko odważni lub pijani ludzie. Przede wszystkim dlatego, że winda zaciniała się średnio dwa razy dziennie. Zwykle to nieszczęście trafiało się tym, którzy się spieszyli, do domu lub do toalety. Do tego wniosku doszedł Algimantas ze względu na stałą intensywną woń świeżego moczu w windzie.

A zatem, Algis wchodził po schodach kilka razy dziennie. Cóż, przynajmniej z tego powodu miał silne mięśnie nóg. Również biedni starsi sąsiedzi woleli się męczyć wspinając się po schodach, niż jechać śmierdzącą windę. Jedną z nich była ukochana babcia Algimantasa, Anastasija. Ta kobieta o długich siwych włosach była tak stara, że od dwudziestu lat nie obchodziła swoich urodzin ze skromności.

Anastasija mieszkała dwa piętra wyżej od Algimantasa. Z za wodu była inżynierem, a z powołania dziergaczką. Na emeryturze

poddała się swojej pasji i ledwo wychodziła z domu. Chyba, że na rynek Kalwaryjski po kolejną włóczkę. Podczas takiej wyprawy musiała zmierzyć się ze swoim największym wrogiem – niewygodnymi i niebezpiecznymi i nigdy niekończącymi się schodami. Jakby pokonała drogę krzyżową, w momencie, gdy była u szczytu schodów, Anastasija jęczała o bolących kolanach, plecach i pogorszeniu nastroju.

Algimantas kochał swoją babcię bez granic. Będąc w domu, zawsze ze smutkiem rozpoznawał kroki staruszki, mimo że każdego dnia setki kroków różnych ludzi wydostawały się spoza cienkich ścian budynku. Każdy krok sąsiada wspinającego się po schodach był przesiąknięty zmęczeniem i bólem, a echo rozchodzące się po brudnych schodach pogłębiało wstręt do codziennego życia kamienicy. Algis nie był obojętny na innych ludzi i ich ból w stawach, mięśniach oraz duszy. Jednak nie wiedział, jak im pomóc.

Środa, trzeci dzień marca, dwa tysiące trzeci rok, godzina piętnasta, trzy minuty i trzy sekundy. Algis wchodzi po schodach. Raz dwa trzy, raz dwa trzy... „Czy nie powinien to już być koniec?” — pomyślał, wspinając się na około trzydziesty stopień. Wygląda na to, że jest jeszcze kawał drogi na ósme piętro. „Może jeszcze tylko jedno?” łudził się Algis. Rozglądał się, jednak nie rozpoznawał żadnych z drzwi na piętrze. Twarde kroki odbijały się echem za nim i wnet Algis zdał sobie sprawę, że wspina się nie sam. Im dalej, tym silniejsze echo docierało do uszu

Algimantasa. Chociaż był bardzo przestraszony, odwrócił się: to jego babcia Anastasija wspiwała się za nim. Krzyczała bez dźwięku przez szeroko otwarte usta. Anastasija trzymała w jednej ręce linijkę, a w drugiej ból. W tym momencie Algis się obudził.

Od jakiegoś czasu bohater naszej historii myśli o swojej przyszłości: co chce robić w życiu, a czego nie, co mu się powodzi, co się opłaca, a co go inspiruje – Algimantas przecież dosyć niedawno skończył szkołę. Niestety trudno mu było się zdecydować. W końcu nie był specjalnie utalentowany ani nie posiadał namiętnych hobby. W szkole wszystko szło mniej więcej umiarkowanie, miał głowę, ale do geniusza był mu daleko. Ani sztuka, ani sport nie inspirowały Algisa do życia. Ale w tę dziwną środę, kiedy obudził się po nietypowym śnie, zdarzyło się coś wyjątkowego. Młodzieniec nagle zdał sobie sprawę, czemu chciałby poświęcić swoje życie. Potem posmarował kanapkę, zasznurował tenisówki i wbiegł na górę po schodach do swojej babci.

Anastasija jak zawsze robiła na drutach zarzeczona w swoich myślach, zatem dopiero po chwili otworzyła drzwi. Algis, bardzo podekscytowany, wziął głęboki wdech i na chwilę przestraszył swoją babcie:

– Co się stało, dzieciaku, że tak sapiesz jakbyś od kogoś uciekał?

– Babciu, musimy porozmawiać – powiedział jednym tchem chłopak.

Anastasija zaparzyła tymiankową herbatę, aby uspokoić wnuczka, usiadłszy przy okrągłym mahoniowym stole i oparła dłonie o brodę dając w ten sposób znak, że słucha.

– Babciu, gdzie mogę nauczyć się budować schody?

Na twarzy Anastasiji zarysowało się zdziwienie, jednak natychmiast wstała i kazała zaczekać. Powolnymi krokami dotarła do rogu starodawnej skrzyni, gdzie trzymała wszystkie swoje cenne rzeczy. Chwilę przeszukiwała zawartość, po czym wyciągnęła dużą starą książkę i otworzyła ją przed nosem Algisowi. Ten kichnął od wielkiej ilości kurzu. Na okładce książki widniał napisany po rosyjsku tytuł: „Tajemnice inżynierii i architektury”. Po przerzuceniu kilkudziesięciu żółtych kartek babcia otworzyła rozdział „Schody”.

– Czytaj, wnuczku.

Chłopak zrobił, jak kazano. Gdy skończył, dostał kolejną instrukcję, tym razem bardziej złożoną. A potem kolejną i jeszcze jedną, i tak dalej... W ten sposób mijały miesiące i lata, aż w końcu Algis zdecydował się iść na studia. Ale tam mu się nie podobało – musiał się nauczyć wielu niepotrzebnych rzeczy. Nauka o inżynierii, matematyce, fizyce w ogóle go nie interesowała. Obchodziły go tylko schody. Ostatecznie wyrzucono go z uniwersytetu za palenie trawki w stołówce pod stołem. Chłopak Zbyttnio nie rozpaczwał – zaczął samodzielnie badać budowę różnych schodów.

Najpierw młodzieniec zbadał schody w pobliżu Wileńskiej Akademii Sztuk Pięknych w stronę Zarzeczca. Były tak paskudne, że wstrząsnęły Algimantasem. „Takie schody są stworzone do cierpienia” – pomyślał. Miały dwa stopnie szerokości, więc się wspiąć można tylko jedną nogą. Zawierały oszałamiające poczucie asymetrii...

W ten sposób Algis mierzył, podróżował i opisywał różne mechanizmy zastosowane w schodach – od tych na Górze Boufałowej¹ po

¹ Lit. Taurakalnis – wzgórze w centrum Wilna



kręte schody Bazyliki Piotra w Watykanie. Zbadał również schody góry zamkowej w Kiernowie i Kaczerginie. Później tworzył tabele statystyczne, przeprowadzał różne ankiety na temat schodów i eksperymentował własnymi stopami.

Algis postrzegał schody jako wspaniałe ludzki wynalazek, który pomaga pokonywać duże odległości w górę. Jednak samo wchodzenie po schodach wzbudzało u niego smutek – bo wszystkie osoby, z którymi rozmawiał na temat schodów, skarżyły się, jak niewygodne, trudne, a czasem nawet bolesne jest wspinanie się na nieszczęsny szczyt. Chłopakowi brakowało pewności siebie, ale w głębi serca czuł się skazany na wynalezienie czegoś lepszego niż zwykłe schody.

Minęło lata, aż pewnego dnia Algimantas zrozumiał, że ma wystarczającą wiedzę praktyczną, aby zająć się kreatywnością. Zaczął eksperymentować z gliną. Niestety, szybko zrezygnował z tego materiału, bo nie był ani trwały, ani wystarczająco mocny. Wziął się zatem za deski, drut, papier, karton i ponownie robił modele schodów. Celem Algimantasa było stworzenie schodów, które powodowałyby jak najmniej cierpienia i jak najwięcej przyjemności.

Algis wyprowadził się już z domu rodziców i wynajął mały pokój na Antokolu², na parterze w starym dwupiętrowym domu. Chociaż dom nie miał wielu piętér, mieszkający w nim ludzie nadal borykali się z problemem schodów. Schody były wygodne, niewiele trzeba było ich pokonać, by się wspiąć na szczyt, ale strasznie piszczwały i były zgniłe. Mało tego, krążą legendy, że schody w domu przy ulicy Piaskowej są za-

czarowane. Ktoś gubił się każdego dnia (czasem dziecko, czasami jakaś staruszka). Taka sytuacja zachęciła więc młodego twórcę do dalszej pracy dla dobra ludzkości.

Chłopak trzymał swoje modele na parapecie, ponieważ było tam jasno, więc łatwo dało się zauważyć każdy błąd. Algimantasowi nie przyszło jednak do głowy, że piesi mogą zobaczyć jego modele od zewnętrznej strony okna. Jeden z przechodniów, bogaty mężczyzna nazwiskiem Indriliūnas, nagle zobaczył Algisa pracującego w domu, gdy szedł na wizytę do fryzjera.

Stuletnia Anastasija dostała kolejnego zawalu serca. Jak zwykle winiła za to schody. Nie zmarła, ale została zabrana do szpitala. Kiedy jego babcia była na sali operacyjnej, Algis postanowił porozmawiać z lekarzem.

– Proszę! – usłyszał zapukawszy do drzwi gabinetu.

Algimantas zobaczył przy stole lekarza o siwej brodzie w okrągłych okularach. Przypominał trochę Jonasa Basanavičiusa³. Oczy tego mężczyzny migotały podejrzliwie. „Prawdopodobnie poeta” – pomyślał Algis i przywitał się.

– Doktor Indriliūnas, kardiochirurg – lekarz przedstawił się spokojnym głosem.

– Algis – powiedział nieśmiało młody człowiek.

– Twoja babcia to wyjątkowy przypadek. Przedwczoraj doznała trzynastego zawału i przeżyła. Za kilka dni wypisujemy ją ze szpitala, ale przez jakiś czas będzie musiała brać leki. Ze względu na wiek Anastasiji, będzie musiała zażywać te same najmocniejsze lekarstwa, jakie są dostępne na rynku.

3 Jonas Basanavičius (pol. Jan Basanowicz) litewski lekarz, pisarz, krytyk literacki, działacz społeczny.

2 Dzielnica Wilna

Indriliūnas przekazał Algisowi receptę, na której widniała również cena leków. Kiedy ją chłopak zobaczył, włosy stanęły mu dęba, a z jego ust wydobył okrzyk zdziwienia. Algis musiałby oszczędzać przez kilka miesięcy, jedząc tylko ziemniaki, aby zapłacić za leczenie swojej ukochanej babci. Indriliūnas, sprytny staruszek, natychmiast zauważył zaniepokojenie na twarzy chłopca.

– Chłopcze, możemy się dogadać – uśmiechnęła się Indriliūnas. – Zaprojektujesz i zamontujesz nowe schody w moim domu, a ja sfinansuję w 100% leczenie babci.

Algis wytrzeszczył oczy ze zdumienia. Nie powiedział nikomu o swoim zawodzie i marzeniach oprócz babci Anastazji. Skąd lekarz o tym wiedział? Bez chwili zastanowienia, Algimantas się zgodził.

Indriliūnas mieszkał w pobliżu Algisa, na parterze w trzypiętrowym murowanym domu, którego był właścicielem. Nie było w nim schodów. Algis natychmiast zorientował się, które schody najlepiej pasują do domu lekarza. Zmierzył nie tylko wysokość sufitu i szerokość ścian, ale także długość nóg Indriliūnasa i jego żony. Schody musiały być specjalnie przystosowane dla mieszkańców domu (Algimantas nawet rozlał gipsowe formy dłoni rodziny Indriliūnasów, aby odpowiednio dopasować poręcze do schodów). Gospodarz zaopatrył Algimantasa we wszystkie niezbędne narzędzia, a ponieważ pracował dla lekarza od rana do wieczora, Indriliūnienė przynosiła mu posiłki trzy razy dziennie. Babcia była już wtedy zdrowa – brała drogie lekarstwa i nie zaciekawilo ją zbytnio, skąd wnuczek dostaje tyle pieniędzy na leczenie. Miesiąc później schody były gotowe. Na pierwszy rzut oka wyglądały jak zwykłe schody – schludne,

nie skrzypiące, na równych poziomach. Pani Indriliūnienė zdecydowała się jako pierwsza sprawdzić schody.

Ach! Nigdy wcześniej w życiu nie doświadczyłam radości z wchodzenia po schodach! Wygląda na to, że mogłabym wspiąć się takimi schodami na dziewiętnaste piętro. I te poręcze!

Indriliūnienė chwaliła pracę Algisa pod każdym względem. Jej mąż, choć zadowolony, nie wyrażał tak ekspresywnie swoich emocji. Stukając się w ramię, szczerze podziękowała Algisowi i poprosiła go o numer telefonu.

Algimantas nigdy nie był tak chwalony. Uwierzył w siebie i uznał, że to dopiero początek. Po powrocie do domu chwycił papier i ołówek. OGŁOSZENIE – opublikowane w gazecie codziennej. Nie, wielu może przypadkowo przeczytać OGŁUSZENIE. Tym bardziej, kto w ogłoszeniu pisze „ogłoszenie”? UWAGA... nie, to też nie działa. Może HEJ lub EJ. Zbyt nieuprzejme. Algis w końcu zdecydował się na tytuł reklamy JESTEŚCIE ZMĘCZENI??? Z trzema znakami zapytania. Algimantasowi zależało, aby emeryci mieszkający na Litwie (i nie tylko) czuli się jak najmniej zmęczeni. W ogłoszeniu zwięźle opisał zakres swoich usług: projektowanie i montaż schodów. Nie zapomniał również o numerze telefonu i adresie mailowym.

Po kilku tygodniach mężczyzna dostał telefon. Potem kolejny, a po tygodniu jeszcze sześć. Tak, z czasem Algis był zajęty tylko swoją pracą. Klienci byli zachwyceni jego dziełem i mówili, że wchodzenie po schodach zaprojektowanych przez Algimantasa to nie cierpienie, ale prawdziwa radość. Algis, który mimo, iż nie skończył studiów wyższych i nie miał pojęcia o naukach ścisłych, patrzył na schody nie TYLKO jako element konstrukcji domu, ale także jako nie-



uniknioną część codziennego życia zwykłych ludzi, wpływającą na ich dobre samopoczucie emocjonalne i fizyczne. Algimantas chciał, aby tak zwyczajna rzecz, jak wchodzenie po schodach, dawała ludziom jak najwięcej satysfakcji i jak najmniej bólu stawów.

Ponieważ ludzie są różni, schody muszą być dostosowane do anatomii i charakteru klienta. Na przykład, dla choleryka Algis zaprojektował mniej schodów, ale takie schody były bardziej strome. Wchodzenie po nich wymagało nieco więcej wysiłku i koncentracji. Schody melancholików były niższe i mniejsze. Ludzie mogli bez trudu się wspinać i przez co doświadczali mniej cierpienia w i tak już smutnym życiu. A ponieważ stopnie schodów melancholijnych są mniejsze, było ich znacznie więcej, a osoby wchodzące po nich mogły nawet wejść w pewien stan skupienia i medytacji.

Schody zaprojektowane przez Algisa były więc wyjątkowe nie tylko ze względu na jego talent, ale także ze względu na niecodzienne podejście do swojej pracy. Plotki o utalentowanym twórcy rozeszły się po całym Wilnie, a wkrótce także po całej Litwie. Pewnego ranka do domu Algisa przy ulicy Piaskowej zapukali dziennikarze Telewizji Narodowej. Wywiad został przeprowadzony z Algisem, który miał na sobie jedynie piżamę, a kuchnia została sfilmowana w sposób, by widniały wszystkie modele schodów, przez co również widniały resztki tłuczonych ziemniaków. Tuż przed wyjściem jeden z dziennikarzy powiedział:

– Zaczekajcie! Panie Algimantasie, jak się nazywa Pański zawód? Powiedziałeś, że nie jesteś ani inżynierem, ani architektem.

Algis wyglądał na zamieszanego. Nigdy się nie zastanawiał, kim jest. Jego obszarem zain-

teresowania były wyłącznie schody. Schodologiem? Schodnikiem? Schodziarzem? Schodziejem? Nie... (Schodziej to nazwisko Mykolasa, sąsiada Algimantasa, a Mykolas, pijak, w nocy głośno słucha Gershwina, którego Algis nie lubi, więc Schodziej odpada.)

– Jestem schodziarzem – powiedział z nutą odwagi Algimantas.

Następnego ranka pojawił się reportaż o schodziarzu Algimantasie. Coraz więcej osób się tym interesowało. Z powodu polecenia lekarza Indriliūnasa dyrekcja szpitala poprosiła Algisa o stworzenie schodów dla osób niepełnosprawnych. Wykonał świetną robotę – schody były niezwykle wygodne, a wręcz magiczne. Pacjenci mogli się wspinać po schodach nie wstając z wózków inwalidzkich. Rozeszły się plotki, że nawet osoby w śpiączce były w stanie wejść po wspaniałych schodach, a cierpiący na hemoroidy wyleczyli się wchodząc na czwarte piętro.

Algisa usługi okazały się potrzebne również archikatedrze w Wilnie. A konkretnie – jej dzwonnicy. Stało się to po tym jak fanatyczny ksiądz Žėnia został mianowany duszpasterzem w głównym kościele Wilna. Ksiądz chciał, aby popularna atrakcja turystyczna stała się specjalną przestrzenią kontemplacji i medytacji dla najbardziej wzorowych księży i ulubionych mniichów Žėni. Oczywiście wymagało to zupełnie nowych, specjalnych schodów. Ponieważ Žėnia był „kuzynem Indriliūnasa” (Wilno jest małe, prawda?), bez trudności uzyskał numer telefonu Algimantasa. Dla mężczyzny było to nie lada użyczenie, ale dobrze sobie poradził – schody zostały ukończone w kilka miesięcy. Nie wiemy dokładnie, jak wyglądały – po wyremontowaniu dzwonnicy katedry zwykli śmiertelnicy nie

mogli już do niej wejść. Krążą jednak plotki, że specjalne schody są tak specjalistycznie wykrecone, że kiedy się po nich wspina, chcąc czy nie chcąc trafiasz w stan transu i w ten sposób zbliżasz się do Pana Boga.

Zupełnie niespodziewanie odeszła do Pana Boga babcia Algimantasa Anastasija. Gdy Algis opowiedział babci, że stał się najśłynniejszym schodziarzem na Litwie, biedna staruszka z radości doznała czternastego zawału serca, który stał się biletem na drugą stronę.

W dniu Sądu Ostatecznego Anastasija miała przejść proces mający na celu sprawdzenie czystości duszy i zważenie jej grzechów. W tym roku to właśnie Apostoł Łukasz odbywał kandydencję w Sądzie Ostatecznym.

– Czystość twojej duszy jest nieco powyżej pięcioletniej średniej statystycznej. Nieźle, nieźle – wymamrotał św. Łukasz, trochę zmęczony mnóstwem pracy.

Anastasija miała nadzieję, że Apostoł nie zaważy kilku małych grzechów z jej młodości, ale bezskutecznie.

– Anastasija! Nie wiedziałem, że podczas studiów nielegalnie sprzedawałaś lemoniadę i że na czwartym roku byłaś alfonssem? Ciekawe, ciekawe... No cóż, w czyścicu jest w tej chwili dosyć tłoczno, zatem oto twoja przepustka do raj. Będziesz musiała podać ją św. Piotrowi. Mężczyznę z okularami i brodą, podobnego do Jonasa Basanavičiusa, znajdziesz w wartowni u bram raj. Od razu go rozpoznasz. Ale transport archaniołów jest przeznaczony tylko dla najczystszych dusz, więc ty, kochana, będziesz musiał wspiąć się na piechotę.

„Znowu te schody” Anastasija już była gotowa przekląć, ale przypomniała sobie, gdzie jest i wczas umilkła.

Zmarłą odprowadziło kilku aniołów do transcendentnych schodów. Przy schodach wisiała tabliczka:

Piwnica: PIEKŁO (poszczególne piętra są oznaczone w piwnicy)

Parter: pałac Sądu Ostatecznego

Pierwsze piętro: akademik dla początkujących aniołów

Drugie piętro: CZYŚCIEC

Trzecie piętro: centrum egzaminacyjne czyścica

Czwarte – czterysta dziewiętnaste piętro: Apartamenty Wszystkich Świętych

Czterysta dwudzieste piętro: RAJ

Anastasija podwinęła spódnicę, wykonała kilka ćwiczeń na rozciągnięcie mięśni i zaczęła się wspinać na szczyt. Schody były niewygodne, miejscami zakurzone i śliskie. Stopnie – nierównej wysokości, poręcze z kosmicznego pyłu – nieprzyjemnie gorące. Biedna Anastasija nawet po śmierci nie uniknęła wstrętnego przymusu do wspinania się po schodach. Oczywiście chodzenie w dół jest o wiele łatwiejsze niż do góry, ale przecież nie wybierzesz łatwiejszej ścieżki, jeżeli na jej końcu czeka piekło. Pragniesz raj – nie narzekaj i wspinaj się na szczyt. Taka była również postawa za życia babci Anastasiji.

Ponieważ w przestrzeni transcendentalnej nie ma pojęcia czasu, trudno określić, ile czasu zajęło Anastazji dotarcie do raj. Ale staruszka zrobiła to stosunkowo szybko. Gdy wspiniała się przez kolejne piętra, gdzie mieszkają wszyscy święci, ci nie mogli się nadziwić szybkości i determinacji babci. Wszyscy oni doskonale zdają sobie sprawę z tego, jak wyczerpująca i trudna jest droga do nieba.



W końcu babcia dotarła do bram raj. Św. Piotr właśnie wrócił z wycieczki na ziemię, więc podobnie do św. Łukasza wyglądał na strasznie zmęczonego. Po przeprowadzeniu procedury rozpoznawczej, wpuścił staruszkę do raj, gdzie miała się przedstawić Panu Bogu jako niebiańska nowicjuszka.

– No niezła droga tutaj do Pana – Anastasija nawet nie przywitawszy się postawiła Bogu zarzut. – Zawsze myślałam, że po śmierci już nie będę musiała wchodzić po schodach – a tu gdzie tam! Jest dla Pana obojętny komfort udreżonych przez całe życie dusz. Pan jako duchowy Ojciec powinien być bardziej uważny.

Bóg wysłuchał Anastasiję ze spokojną twarzą i uśmiechnął się:

– Czekaliśmy tu na ciebie z aniołami, Anastasijo. Rozumiem twoje zarzuty, chociaż wielu powiedziałyby, że nie należy stawiać zarzutów Bogu. Widzisz, kiedy projektowaliśmy schody, specjalnie zaprojektowaliśmy je tak bardzo niewygodne, na ile to było tylko możliwe. Musieliśmy to zrobić, bo nie mieliśmy jeszcze czyścica, w którym dusze za dobre by iść do piekła, ale zbyt grzeszne na niebo, byłyby oczyszczone i przygotowane do raj. Teraz anioły niosą duszyczki czyste, a tylko te, które muszą się oczyścić wspinają się pieszo i tylko wtedy, gdy czyściciel jest pełny.

Anastasija słuchała Boga i trochę się zawstydzila. W końcu, gdyby była uczciwsza, to by nie musiała wchodzić po schodach.

– Panie Boże, – zwróciła się staruszka, – abyś wiedział, jaka to straszna męka dla duszy, która nawet po śmierci musi znosić trudy życia. Dopiero moje uparte korzenie Żmudzinki zachęciły mnie do dalszego wspinania się, a nie bezgraniczne pragnienie wstąpienia do nieba. No do

diabła, to niebo! Po drodze przestałam wyobrażać sobie niebo jako miejsce pełne przyjemnych udogodnień. „Prawdopodobnie tam, u Boga, nie lepiej niż w moim domu na Žirmūnai”, pomyślałam cicho do siebie. A jednak nie zesłam na dół, bo wskazywałoby to nie tylko na moją słabość i niezdolność osiągnięcia celu, ale także podróż do piekła. W końcu albo w dół, albo w górę, albo piekło, albo niebo...

Bóg słuchał babci mlaskając z zadowolenia.

– Cieszę się, że ukończyłaś to wyzwanie, Anastasijo – powiedział Pan Bóg. – Okazałaś taką siłę ducha, że jestem pewien, że twoja dusza jest godna nieba. W tym celu spełnię twoje jedno życzenie.

Anastasija podrapała się za uchem, pomyślała i powiedziała:

– Boże, chcę, żebyś pozwolił mojemu wnukowi Algimantasowi zaprojektować nowe schody do raj...

Cóż może Bóg zrobić – jeśli już obiecał spełnić życzenie, to je spełni. Wysłał zatem św. Piotra na ziemię, aby wezwał Algiego do nieba.

A na ziemi w tym czasie wydarzyło się wiele dziwnych rzeczy. Schody Algisa zasłynęły na całym świecie. Zaprojektował on schody wieży Eiffla, wieżowca Burj Khalifa w Dubaju (tu Algis pracował najdłużej, bo ten olbrzym ma ponad osiemset metrów wysokości), a także zlecił budowę schodów na Everest. Jednak entuzjaści ekstremalnego alpinizmu zbuntowali się przeciwko projektowi i nie został on zrealizowany. Ale Algis się nie poddał – zbudował niezwykle wygodne schody w Tatrach i zdobył za to Nagrodę Nobla.

Negatywne na całym świecie nastawienie do wchodzenia po schodach zostało stopniowo zastąpione przez uniwersalną filozofię schodową, a gdzieś tam nawet poprzez manię schodową. Korzystanie z wind stało się niemodne, a ludzie nawet z nudów zaczęli wspinać się i schodzić po schodach stworzonych przez Algisa. Uczniowie masowo opuszczali zajęcia, ponieważ większość z nich bawiąc się wchodziła z pierwszego piętra szkoły na czwarte i z powrotem. Lekarze nie przyjmowali już pacjentów do przychodni – zamiast siedzieć w gabinetach i pracować, cieszyli się ze schodów w miejscu pracy. To samo działo się w kościołach, komisariatach, hotelach i apartamentowcach, nawet w parlamencie, prezydenturze, uniwersytetach i bankach – ludzie oszaleli. Dziwne schody, stworzone przez młodzieńca zwanego geniuszem schodów, dostarczały nieopisaną przyjemność, którą nie dało się osiągnąć nawet poprzez narkotyki.

A Algis, choć pieniędzy miał dostatecznie dużo, nadal mieszkał w małym mieszkaniu na ulicy Piaskowej, jeździł trolejbusami i budował schody. Nie cieszyło go bogactwo ani sława. Biednego majstra nieustannie dręczyła myśl, że coś jest nie tak. Całym sercem chciał pomóc światu, ale im bardziej się starał, tym wyraźniej stawało się dla niego jasne, że jego prace są nadużywane przez społeczeństwo. Zrozumienie tego ścisła Algimantasowi serce, jednak zdawał sobie sprawę, że nic z tym nie może zrobić. „Mogę zbudować schody dla społeczeństwa, ale nie mogę odbudować społeczeństwa” – powiedział Algis z niepokojem.

Był tak przygnębiony, że po krótkim czasie straszliwie się zmęczył. Pewnej środy rano, gdy się tylko obudził, postanowił zrobić sobie

wolne. Jedząc placki ziemniaczane na śniadanie marzył o tym, by siedzieć cały dzień na kanapie, patrzeć w sufit i nie myśleć o niczym. A wieczorem wybierze się na spacer.

– Puk, puk, puk. – Dźwięk pukania do drzwi dotarł do ucha Algisa. Mężczyzna był tak rozkojarzony, że otworzył się dopiero kilka minut później i zobaczył niezadowoloną twarz.

– Kto to widział, żeby młody człowiek kazał staremu czekać?

– Panie Indriliūnai, jaka niespodzianka – Algis zrobił krok do tyłu – Proszę do środka.

Algimantas zaparzył kawę dla Indriliūnasa i podał mu pyszne ciasteczka owsiane. Niezadowolona twarz lekarza rozjaśniła się i zwrócił się do młodego gospodarza miłym tonem:

– Nie dzwoniłem, postanowiłem przyjechać, bo mam poważną ofertę, przynajmniej nietaktowne jest rozmawiać o tym przez telefon.

– Chcesz, żebym zaprojektował schody w wieży telewizyjnej Karoliniškės⁴ – próbował zgadnąć Algis.

– Co tam ta wieża, nikt już na nią się nie wspina. Tylko czasami ktoś ją okupuje.

Algis zdziwił się tak niezwykle żartem Indriliūnasa, ale pomyślał, że starzec jest tak podobny do Basanavičiusa, że prawdopodobnie pozwolono mu naśmiewać się nawet z historii państwa.

– Algimantasie, – powiedział gość, – sprawa jest naprawdę poważna. Tym razem będziesz musiał zaprojektować schody do raju. Rozmawiałem wczoraj z Bogiem, myśli, że możesz to zrobić. Pomyśl o tej propozycji, możesz ją zaakceptować lub odrzucić.

4 Jedna z atrakcji turystycznych Wilna



Indriliūnas wyszedł, nie dopiwszy nawet herbaty, a Algis stał nieruchomo w drzwiach, doznawszy szoku ze zdumienia.

Stworzenie schodów do raju jest po prostu bosko dziwną i trudną do opisaną rzeczą. Aby dokładniej przekazać szczegóły tego procesu, trzeba by było napisać osobną książkę. Wystarczy chyba powiedzieć, że Algimantas, prosty mieszkaniec ulicy Piaskowej na Antokolu, był w stanie wykonać to niecodzienne zadanie. Nie było to łatwe, dosyć dużo czasu zajęło mu dotarcie do przestrzeni kosmicznej, ale wznosząc się nad nią, osiągnął ponadczasową przestrzeń, więc Algis nawet nie zauważył, jak zakończył pracę. Nie zauważył też tego, że po ukończeniu schodów znalazł się w raju, tuż obok Boga. Bóg golił wtedy brodę. Kiedy zobaczył, że zwykły śmiertelnik, wytrwały i oddany samotnej pracy, zdołał znaleźć się w raju, ze zdumienia nawet podciął swój święty policzek.

– Nie spodziewałem się, Algisie, – powiedział Bóg, – że będziesz w stanie zbudować te schody. Jesteś wspaniały.

„Jeżeli Bóg mi nie ufa, to czy powinienem ufać jemu?” pomyślał Algis, ale natychmiast wyrzucił z głowy tę myśl, którą Bóg mógł z łatwością odczytać.

Pan Bóg śpieszył właśnie na ważne spotkanie, więc nie zwracał uwagi na takie szczegóły.

– Algisie, chcę ci wynagrodzić zainstalowanie schodów do raju. Daję Ci możliwość nie wracać na ziemię i pozostać tutaj w niebie. Oczywiście możesz się odmówić i wrócić do domu, aby żyć do śmierci. Pamiętaj tylko, że tylko pozostając teraz możesz uniknąć Sądu Ostatecznego.

Algimantas się zastanowił. Opłacałoby się pozostać w raju, ale na ziemi czeka na niego jeszcze kilka spraw. Ludzie czekają... Czuł, że musi jeszcze trochę pożyć na ziemi. Bardziej dla innych niż dla siebie.

– Dziękuję Boże, ale muszę odrzucić tę ofertę. Na ziemi mam niedokończone sprawy.

– Cóż, to twój wybór. Do zobaczenia. Być może. – Bóg wzruszył ramionami i odszedł.

Wróciwszy z raju, Algimantas nadal prowadził normalne życie: tworzył schody, codziennie jadł śniadanie, wieczorami pił herbatę tymiankową i od czasu do czasu miewał dziwne sny. Pewnej nocy Algimantas śnił o tym, że siedzi na kanapie i wie, że śni. Chłopak lubi mieć świadomość tego, że śpi, bawi się wtedy mocami telekinetycznymi – zdaje sobie sprawę, że we śnie wszystko jest możliwe. Algis zongluje talerzami, myślami podnosi telewizor i nagle: puk, puk, puk! Ktoś głośno puka do drzwi. Algis otwiera drzwi i dziwi się z tego, kogo widzi. Stoi zasapana i nieco odmłodzona babcia Anastasija.

– Cześć babciu! Powinnaś być martwa, prawda? – z podniecenia niegrzecznie spytał wnuk.

– Algisie, zapomniałeś o tym, że śnisz? – Babcia zaśmiała się.

Usiadła na kanapie, a chłopak zaparzył dla niej herbatę. Oczywiście tymianek.

– Widzisz, – powiedziała babcia, – nie znalazłam innego sposobu, żeby cię odwiedzić, niż we śnie. Zmarli mogą odwiedzać żywych tylko w snach lub szpitalach psychiatrycznych. Takie zasady, nic nie zrobisz... Ale do rzeczy. Przybyłam, Algisie, aby cię ostrzec przed wizytą św. Piotra. On, jak wszyscy, jest na ciebie trochę zły.

Algimantas nic nie rozumiał, ale wyczuł coś strasznego. Babcia mówiła dalej:

– To moja wina. Przecież tak chciałam, aby mój ukochany wnuk, posiadający tak wielki talent, stworzył schody do nieba i tym również zbliżył się do samego Pana Boga. Nie jest to jednak dzieło na siły człowieka. Tak się złożyło, że przez nieostrożność popełniłeś mały błąd przy projektowaniu schodów. Przeliczyłeś się. Na ziemi każdy by zrozumiał taki błąd. Ale w niebie to inna sprawa. Z powodu tej małej matematycznej nieścisłości wszystkie twoje schody tak naprawdę prowadzą tylko w dół. Uniemożliwiają wzniesienie się, więc dusze nie mogą już trafić do raju. Mało tego, wszyscy święci pragnęli wypróbować Twoje schody, które wyglądają tak pięknie, prawie idealnie. Nieświadomi, że schody posiadają defekt, święci zaczęli masowo schodzić. Najgorsze jest to, że ci na dole nie mogą ostrzec tych na górze – są już za daleko od nieba. Ziemia jest zbyt biedna, aby utrzymać tak wielu świętych. Śmiertelnikom nadchodzi koniec. Ich dusze już nigdy nie osiągną nieba. Ani transport archaniołów, ani łaska Pana Boga nie działają – panuje anarchia i chaos w przestrzeni transcendentnej. Algisie, bo to są twoje schody, masz...

Schodziarz się obudził, zanim babcia skończyła zdanie. „Nieładnie to zrobiłem”, pomyślał Algis, ale szybko zapomniał o tym śnie. Indriliūnas siedział wygodnie na fotelu obok łóżka i paląc fajkę czytał gazetę. Kiedy Algimantas się obudził, lekarz, nie witając się, zaczął głośno czytać:

– „Najgorętsze wiadomości w czwartek! Zamieszanie, które zaczęło się w niebie, nie ustaje. Chaos stopniowo ogarnął naszą planetę, a apokaliptyczny nastrój nie umyka żadnej warstwie społeczeństwa. Prezydent zrezygnował i polecił na Jowisza z naukowcami NASA. Nie-

stety, według najnowszych danych ich rakieta uderzyła w tłum świętych napływających na ziemię, którzy wkrótce zmiążdżą cały świat. Nie możemy przedstawić planu ewakuacji, ponieważ wydaje się, że nie ma ucieczki dla jakiegokolwiek formy życia na tej ziemi. Świadkowie twierdzą, że Pan Bóg napotkał wielkie zagrożenie. Ponieważ nic takiego nie wydarzyło się jego stworzeniom w całej historii świata, nasz niebiański Ojciec dostał ataku psychozy. Według wiarygodnych źródeł Bóg, który został sam w raju, prawie całkowicie przyłoczony szaleństwem, sam zamierza zejść po schodach”.

Wtedy Indriliūnas jak najspokojniej podniósł rękę i rozwinął zasłonę. Algimantas zbliżył się do okna i zobaczył straszny widok: niebo po trochu zaczęło pękać. Przez gigantyczne szczeliny zaczęły się pojawiać coraz to wyraźniejsze kontury schodów prowadzących na ziemię. Oślepiające światło zalało ulice nie tylko Antokolu, ale także Žirmūnów, Starego Miasta i (prawdopodobnie) całego świata. Po schodach unosił się tłum gigantycznych postaci. Wszyscy wyglądali na spanikowanych. Była to boska, idealna panika. Po raz pierwszy w życiu Algimantas poczuł spokój w sercu. Dom za oknem runął, drzewa ze wszystkimi korzeniami wzbily się w niebo. Wokół rozbrzmiewały się alarmy samochodowe, dopóki nie zatykały ich stopy Wszystkich Świętych. Algis zdał sobie sprawę, że żadna dusza nie zostanie zbauwiona, i wtedy po raz pierwszy w życiu poczuł jedność z całym światem.

W końcu ze szczeliny w niebie wyłonił się wielki palec u nogi, a wraz z nim zabłyśło jeszcze jaśniejsze światło. Algis stracił świadomość. I wkrótce wraz z całym światem rozpląnął w tym świetle. ●





Elżbieta Geben

Język w piwnicy

PAMIĘTAM, ŻE WYDARZYŁO SIĘ TO PRZED ŚWIĘTAMI. Może jednak trochę wcześniej? Im bardziej usiłowałam przypomnieć konkretną datę, tym bardziej myliłam się w obliczeniach. Po chwili przewróciłam się na drugi bok i poczułam dopływ krwi do zdrętwiałej nogi.

Dzwonek z lekcji tym razem zadzwonił głośniejsz niż zwykle. Poczulałam dreszcze. Rozejrzałam się po klasie sprawdzając po twarzach innych, czy też zadziałał na nich głośny dźwięk. Jednak nikogo nie obchodziła zmiana tonu dzwonka lub nie zdążyłam zobaczyć, bo po chwili, jedyne, co widziałam to tyły sylwetek wybiegające z klasy. Musiałam dotrzymać im tempa. Jednym ruchem wzięłam teczkę z ławki, zarzuciłam ją niezgrabnie na plecy i wybiegłam za innymi. Tak już jest. Nikt na mnie zwykle nie czeka, a każdy wie, że źle być ostatnim.

Podbiegłam do Laury, która szła kilka kroków przede mną.

– Myślałam, że nie wytrzymam... – odezwała się pierwsza, przedzierając się przez tłum wchodzących do szatni pod prąd – jeszcze trochę i umarłabym z nudów! I po cholere zadawać tyle pytań?

Mówi o ostatniej lekcji, domyśliłam się. Oczywiście nie skomentowałam tego, ale tylko się uśmiechnęłam. W sumie lubiłam, że zawsze mówiła to, co myśli. Kiedy po prostu szłam obok, jej tematy do rozmów się nie kończyły. Pewnie dlatego chciałam, by ze mną się przyjaźniła.

Po zabraniu kurtki z szatni, która ma na tyle wąskie drzwi, że nawet osoba z trudem się mieści, więc tym bardziej nie jest to możliwe, by stu uczniów, którzy w ten samy czas ukończyli lekcje, zrobili to jednocześnie, poszłam w stronę drzwi wejściowych. Rozglądałam się za Laurą, jednak nigdzie w pobliżu jej nie było. Trudno, stwierdziłam, znów będę musiała iść sama.

Wprawdzie, droga do domu nie była aż tak długa, jednak ten, kto chociażby raz wracał zupełnie sam, będąc otoczony dziewięćdziesięcioma ósmioma uczniami, którzy mówią ze sobą i się śmieją, rozumie to okropne uczucie. Samotność? Nie, to coś innego. Samotna jestem w każdej chwili, nie tylko podczas powrotów do domu. To jest coś w rodzaju uczucia wstydu i świadomości, że jest się na tyle innym. Wówczas idzie się ze spuszczoną głową, próbując nie słyszeć głosów wokół.

Kolejnego ranka, po pełnej koszmarnych snów nocy, wstałam 15 minut do dzwonka. Zerwałam się na równe nogi i zaczęłam szukać spodni. Chwycałam swoje przetarte czarne jeansy i zaczęłam w pośpiechu je zakładać. Gdy wciągałam drugą nogawkę, z kieszeni wypadł jakiś mały zwinięty świstek papieru. Gdybym mieszkała sama w domu, dałabym spokój, ale wiedząc, jak rodzice reagują na papiery rozrzucone na podłodze, podjęłam go i położyłam na stole.

Dwadzieścia minut po przebudzeniu się byłam już w szkole. Gdy zdyszana siadłam do

lauki, pocieszyłam siebie, że jednak nie ja przyszedłam ostania. Pani wytrzeszczyła na mnie oczy i już chciała coś mówić, ale pewnie stwierdziła, że nie warto marnować drogiego czasu i po zanotowaniu w dzienniku spóźnienia, zaczęła dalej prowadzić lekcję. W klasie wciąż nie było Laury.

Tego dnia na biologii przerabialiśmy różne choroby psychiczne i oczywiście – depresję. Poczulałam na sobie ciężar kilku par oczu podczas omawiania materiału. Znowu do mnie przyszło to do bólu znane uczucie, gdy chcę się schować ze wstydu, bo jestem odbierana inaczej niż tego sobie życzę. Przyznaję, wielu lekarzy nieraz mówiło mi, że mam skłonność do depresji. Jednak jestem tego pewna, że do depresji było mi daleko. Uważałam się raczej za małowównego, skazanego na samotność dziwoląga.

Takie uczucie towarzyszyło mi do końca szkolnego dnia.

Po przyjściu do domu, zmęczona i wykończona, nie znalazłam nic do jedzenia. Sprawdziłam kolejny raz lodówkę, jednak tam nic nie było. Czy byłam zła? Wściekła. Wówczas z daleka zobaczyłam kartkę na swoim biurku i mając maślane oczy w nadziei na miłą informację o obiedzie, podbiegłam. Ale się pomyliłam, gdyż okazało się, że to ten sam głupi świstek, który podniosłam, wychodząc do szkoły.

Przeleciałam oczyma przez zdanie:

„Ona chciałaby coś powiedzieć, lecz język za krótki, a myśli za głębokie.”

Wzięłam głęboki oddech i porwałam kartkę, wyrzucając jej strzępy do kosza. Ktoś znowu ze mnie robił żarty. Już nie po raz pierwszy otrzymywałam takie „nic nieznaczące” zaczepki. Kilka razy obiecywałam sobie nie zwracać na nie uwagi, jednak czasem nawet

taka błahostka mogła wywołać mój płacz. Na szczęście, nie stało się to dzisiaj. Myślę, że przyczyną tego było to, że byłam bardziej głodna niż zwykle.

Niespodziewanie usłyszałam dzwonek do drzwi. Odruchowo wytarłam ręce o ściereczkę i nie zaglądając przez oczko w drzwiach, otworzyłam. Przede mną wyrosły dwie postacie: jedna z nich była w mundurze policjanta, co mnie trochę przeraziło, druga zaś – co pomogło mi w pewien sposób opanować nad tą sytuacją – była znana mi z widzenia.

– Czy zastaliśmy Aurelię? – zapytała policjantka, otwierając notes.

– Przepraszam, że tak bez uprzedzenia, – odezwała się pani w okularach z pewnym drżeniem w głosie, – ale być może wiesz, gdzie jest...

– Laura? – Powiedziałam półgłosem, bo właśnie w tamtym momencie przypominałam, gdzie widziałam tą panią. Było to na Laury urodzinach, rok temu.

Wprawdzie nie wiem dotychczas, dlaczego sama wypowiedziałam jej imię na głos, ale dałam jakimś cudem nadzieję jej matce.

– D... dokładnie.

– Powiedz nam gdzie ją ostatni raz widziałaś i co ci mówiła.

Gdy przekroczyły próg mieszkania, dotarło do mnie, o co chodzi w tej całej sytuacji. Chciałam jak najszybciej dać im do zrozumienia, że tak naprawdę nic nie wiem.

– Ostatni raz ją widziałam wczoraj po ukończeniu lekcji. Nic nadzwyczajnego.

– Nie mówiła ci, gdzie pójdzie czy coś w tym rodzaju?

– Przykro mi – powtórzyłam – Naprawdę nic nie wiem.



Nie czułam się zestresowana, wydawało mi się, że nie mam nic wspólnego z niespodziewaną wizytą. A los Laury, ku swemu zdziwieniu, nie zaniepokoił mnie.

– Laura nie wróciła wczoraj po szkole. – powiedziała policjantka i zmierzała ku wyjściu. – Jeżeli coś jeszcze będziemy potrzebowali, to wrócimy. – Mama Laury powlekła się z tyłu, wciąż pewnie mając nadzieję, że czegoś się ode mnie dowie.

Zamknęłam drzwi, próbując zrozumieć, co się właściwie stało. Zaczęłam w myślach tworzyć różne historie, które spotkały Laurę, jednak ciągle wracałam do tej, że stwierdziła, by odpocząć od świata, który ją otacza.

Kolejnego dnia cała szkoła już wiedziała o zaginięciu Laury. Jednak podczas sprawdzania obecności nie wymieniano imienia Laury. W sumie z początku dziwiło mnie to, że uczniowie stronili ode mnie, ale to zaginięcie wcale nie musiałyby mieć wpływu na moje życie. Nie lubiano mnie przedtem, nie lubią mnie i teraz.

Po trzeciej lekcji, gdy wszyscy pędzili jeszcze szybciej, niż zwykle, no, bo przecież liczy się, kto szybciej dobiegnie do swojej porcji obiadu, wyszłam z klasy i poszłam w stronę toalety. Dalsza kabina jest najmniej ohydna, więc zwykle przesiadywałam w tej pierwszej od okna. Właśnie zaglądałam do portali społecznościowych, gdy weszły jakieś dwie dziewczyny.

– Słyszałaś o Aurelii? – z głosu poznałam, że to dziewczyna o klasę młodsza ode mnie. Ze zwykłej ciekawości wsłuchiwałam się w ich rozmowę.

– Kto by nie słyszał? Doprawdy, ja już nie chcę o niej gadać. Skoro tamta zginęła, to zginę-

ła. – Raptem wstrzymałam oddech. Mimo, że nie wiedziałam o co im chodzi, wypowiedziane przez nią moje imię już przyprawiało mnie o dreszcze.

– Cicho, a to jeszcze i ciebie porwie.

– Ha ha, jedyną przyczyną, dlaczego nie wierzę w te plotki, jest to, że ona nie zdoła nawet słowa przed publicznością powiedzieć, a tutaj ma niby żywego człowieka porwać? I gdzie by ją trzymała? W łazience czy na balkonie?

– Powiedziałyby w piwnicy, ale tego się ona przecież nie domyśli.

Przez cały ten czas siedziałam i wstrzymywałam i płacz, i gniew. Czy chciałam wyjść i obu przywalić? Chciałam, jednak wiedziałam, że to nic nie da. Czekałam, póki obie wyjdą, a potem ostrożnie otworzyłam drzwi i podeszłam do lustra. Wciąż jeszcze było czuć woń perfum, którą pozostawiły. Spróbowałam się uspokoić, uśmiechnęłam się i próbując uwiecznić taką twarz, wyszłam z toalety.

Jeżeli każdy ma w sobie nadnaturalną moc, to ja zapewne posiadam moc czucia wzroków na sobie. Na kolejnej lekcji podczas czytania obecności pani, jak wszyscy dzisiaj, opuściła imię Laury. Tym razem, mocniej niż wcześniej, poczułam kilkanaście par oczu zwróconych w moją stronę. O ile starałam się zrozumieć, dlaczego wszyscy myślą, że miałam coś z tym wspólnego, o tyle ta sytuacja drażniła mnie coraz bardziej. Miałam tego na tyle dość, że obiecałam sobie, że po lekcji podejść do kogoś i wprost zapytam, o co chodzi.

Jednak moje wszystkie zamierzenia popsuło wejście wychowawczynie. Raptem mi ulżyło, pewnie ktoś powie, co się naprawdę dzieje i wreszcie rozumiem, że nic ale to nic nie mam z tym wspólnego.

– Proszę o spokój, zostaną wam zadane podstawowe pytania, kiedy widzieliście po raz ostatni Laurę, czy powiedziała wam coś takiego, co jest warte przekazania policji. – to powiedzawszy, jakby na dany znak, do sali weszła policjantka.

Mogę się nawet założyć, że ten „wywiad” z policją ani trochę nikomu nie pomógł, jednak, trzeba udawać i twierdzić, że na pewno coś tam te przesłuchania pomogą. Dzisiaj przeczekałam trochę sam tłok i wyszłam ze szkoły o chwilę później niż zwykle. W domu, nie zdejmując kurtki ani butów, weszłam do kuchni. Z ponurą miną otworzyłam lodówkę, w myślach układając spis zakupów. Lodówka pachniała pustką, tym bardziej po wczorajszym całkowitym wyczyszczeniu zawartości mój wzrok nie zahaczył się o nic. Gdy otworzyłam szarobiałą szafkę, coś we mnie zadrżało. Nie chodzi mi o dreszcze, które wywołuje brak jedzenia, czy nagły dopływ zimnego powietrza do ciała, to było obrzydzenie. Pośrodku półki leżał na okrągłym białym talerzu kawałek różowego języka. Nie były to jakieś jęczyczki czekoladowe. Kawałek surowego języka. Po chwili zauważyłam, że w miejscu przecięcia był ulokowany zwinięty mały papiererek. Gdy przeszedł mi niesmak, ostrożnie wyjęłam papiererek i go rozwinęłam, bo zerała mnie ciekawość.

„Przecież nie domyślisz się, żeby schować mnie w piwnicy”.

Stałam tak przez chwilę patrząc na język i krople zaschniętej krwi na talerzu, który z każdą sekundą wyglądał mi coraz bielszy. Odgrywałam w myślach scenę ze szkolnej łazienki, słysząc kpiący głos dziewczyny. Byłam pewna, że nie

pokażę tego rodzicom, ani już tym bardziej policji. Wciąż próbowałam sobie umówić, że to jest cholerny żart, jednak na pytanie, jak ów język znalazł się w moim domu, nie mogłam odpowiedzieć. Ktoś, kto zostawił tą kartkę z językiem, niczego ode mnie nie chciał, najwyżej, chciał we mnie wzbudzić strach. Nawet nie przyszło mi na myśl oskarżyć o ten „żart” pierwszoklasistki, ponieważ wydawały mi się zbyt głupie na taką akcję. Ostrożnie dotknęłam języka. Zimny i szorstki. Podczas wyrzucania poczułam też pewną wilgoć i miękkość, jaką ma każdy jęzor. Wyjęłam worek z kosza na śmieci i jakby po przegranej walce, poszłam do kontenera.

W swoim pokoju jak zwykle czułam się bezpiecznie, otaczały mnie artystycznie wymalowane na kolor ciemnoniebieski ściany, pokryte warstwą plakatów i zdjęć, na które już dawno nie zwracałam uwagi, ale nie zdejmowałam je, bo po prostu mi nie przeszkadzały. Gdy tylko wygodnie usiadłam do fotelu, który był jedynym miejscem odpoczynku w moim kąciu, drzwi pokoju się otworzyły.

– Czemu mi nic nie powiedziałaś o zaginięciu Laury? – Ze zdziwieniem w głosie zapytała mama.

– Bo wiedziałam, że zrobisz z tej sprawy duże halo.

– D... duże halo? Twoja koleżanka z klasy może nie być wśród żywych, a ty twierdzisz, że to jest jakaś błahostka?

– Teraz to już przekręcasz moje słowa. – Nie miałam najmniejszej ochoty na dyskusje. Przez chwilę żałowałam, że to nie mama znalazła w kuchni język, to by było dopiero widowisko. Jednak nic nie powiedziałam na głos i posłusz-



nie słuchałam wybuchu niepokoju i strachu, bo w mediach, oczywiście, tę sprawę przedstawili, wyolbrzymiając wszystkie fakty.

– Gdyby coś ci się stało, pamiętaj... – przestałam wsłuchiwać się w słowa. Mimowolnie zaczęłam się gapić na ścianę. Chociaż na niej nic nie było nowego, zdawała mi się jakaś zimna. Próbowałam znaleźć jakiś brakujący rysunek, jednak to było jak szukanie różnicy na jednym obrazku bez wzoru do porównania. Muszę przyznać, czułam się z każdą chwilą coraz bardziej nieswojo, spoglądając na ścianę tak, że aż zaczęła we mnie budzić pewien strach i zainteresowanie.

Gdy tylko mama opuściła moje terytorium, podeszłam do drzwi i przysunęłam najbliższe krzesło. Zbliżyłam się do ściany, która, mimo że była oklejona plakatami filmu *Zmierzch* i grupą Rammstein, miała widoczne wgłębienia i zarysowania.

Wyciągnęłam rękę przed siebie i z pewną ostrożnością przeprowadziłam po konturze. Wyglądało jakby ściana wchłonęła część betonu do siebie. Pochyliłam głowę, aby zobaczyć na obraz pod kątem. Po chwili, wszystkie moje chwilowe teorie powstania kilkumilimetrowego wgłębienia zostały obalone. Kontur przedstawiał niewyraźną czaszkę z otwartą szczęką. Z mojego punktu widzenia wyglądało, że woła o pomoc. Nie prognozowało to niczego przyjemnego. Czułam się, jakby ten nowopowstały obraz przemawia do mnie, by ostrzec. Wyglądało, że zaraz musiałby krzyknąć. Słyszałam jak krew pulsuje w uszach i czułam, jak całe ciało pokrywa się małymi kroplami potu. Próbowałam znaleźć jakiegokolwiek wyjaśnienie, jak taki wgłębiony obraz mógł okazać się na mojej ścianie. Jednak własne myśli zaczęły we mnie wywoływać strach.

Przebudziła się we mnie nadnaturalna siła. Dokładnie nie pamiętam, co było, czułam tylko ogromny ból w kończynach, jakby ktoś obcęgami próbował oderwać paznokcie. Ocknęłam się dopiero po chwili z porwanymi plakatami w rękę, były też widać świeże rysy na ścianie. Nawet nie skojarzyłam od razu, że to ja je zrobiłam, gdy do pokoju wbiegła mama.

Spojrzałam na własne ręce. Widziałam jak pod niektórymi paznokciami zbiera się fioletowa krew. A nadgarstki pulsowały tak mocno, że patrząc na ręce, można było zmierzyć puls.

– Co robisz?! – Krzyknęła, a po chwili odwróciła się, by zobaczyć źródło słyszanych dźwięków. Widziała przed sobą zwierzęco podrapaną ścianę, miejscami oderwaną fioletową farbę, a wokół poszarpane na części plakaty.

Popeniłam błąd. Ale czy nie popeniamy ich wszyscy?

Otworzyłam oczy. Znalazłam się w jasnym pomieszczeniu, a światło dochodziło do środka w tak pięknym białym blasku, że przez chwilę zastanawiałam się, czy naprawdę jeszcze żyję. Raptem poczułam czyjeś spojrzenie. Odwróciłam się na bok, a na krześle przy łóżku siedziała... Laura. Ta sama Laura, ubrana w swoje kolorowe spodnie, które lubiła, ponieważ nie były „monotonnego” koloru oraz w ciemnograniatową bluzkę, aby utrzymać bilans całego ubioru. Tylko po chwili zorientowałam się, że ona się do mnie uśmiecha.

– Jak się czujesz? – Zapytała, po czym podała mi kubek z wodą.

– Wszyscy ciebie szukają. Zaginęłaś, mówią.
– Wzięłam kubek z jej rąk, próbując ocknąć się do końca i zrozumieć, co ja tutaj robię.

– Ja tam im nie wierzę. Niektóre rzeczy nie są takie, na jakie wyglądają.

– To gdzie jesteście? – Nie mogłam przypomnieć sobie jak się znalazłam w tym całkowicie obcym miejscu i dlaczego jest mi tak ciężko się poruszać.

– Wytrzymaj jeszcze chwilę. – Już chciałam pytać, o co Laurze chodziło, ale jakieś światło mnie osłepiło. Za chwilę świat stał się mniej rozświetlony, a dźwięki wokół nie przypominały już spokojnego szumu drzew, tylko rozmowy kilku ludzi, płacz jakiegoś dziecka i dźwięki, które czasami wydaje semafor, aby ślepi mogli przejść przez ulicę.

Dopiero po chwili uświadomiłam, że na miejscu Laury siedziała moja mama i z zaniepokojoną twarzą wpatrywała się w przestrzeń za oknem. Nie chciałam jeszcze zwracać na siebie uwagi i pytać o cokolwiek, ponieważ próbowałam poukładać w głowie to, co przed chwilą się zdarzyło. Chociaż postać Laury wyglądała jak rzeczywista, jednak mój mózg próbował mi uświadomić, że to tylko sen.

– Obudziłaś się! – z wielką radością stwierdziła mama.

– Co się tutaj dzieje? – nie ukrywałam zdziwienia. Lecz mama wzięła moją rękę i przytuliła ją do siebie. Naszą rozpoczętą rozmowę przerwał lekarz, który otworzył na oścież drzwi do pokoju.

– O, obudziła się, dobrze. – Mruknął do siebie i zajrzał do swoich notatek. – Według wszystkiego, stan Aurelii ma wracać do normy.

– Mój stan? Co mi się stało? – próbowałam

zrozumieć sytuację, jednak nikt nie chciał dla mnie wprost powiedzieć, o co chodzi.

– Nic poważnego. – powiedział wciąż patrząc do swoich notatek. – Może nawet wypiszemy Aurelię jutro. – potem odwrócił głowę w moim kierunku i przyjaźnie się uśmiechnął. – Zemdlęłaś i nic więcej. Twoja mama bardziej to przeżyła, niż ty sama. – Odetchnęłam z ulgą. – A, tak, – zwrócił się do mojej mamy, wyciągając jakąś ulotkę. – Telefon do psychoterapeuty.

Moja mama wzięła ją jak najszybciej, jej wzrok skierował się na mnie, pewnie bała się, czy nie zacznę krzyczeć lub próbować rozerwać tę kartkę.

Pamiętam wcześniej, gdy mama zapisała mnie na wizytę u psychologa, płakałam w domu, ponieważ, jedyne, czego najbardziej się boję, to bycie posądzoną o chorobę psychiczną. Przyznaję, bycie inną stało się moją codziennością, lecz bycie nienormalną jest zupełnie czymś innym.

– Psychoterapeuta? Po co ci to? – krzyknęłam, gdy doktor zamknął drzwi.

– Teraz najważniejsze jest dbanie o twoje zdrowie. – mama wyraźnie omijała temat. – Potem zobaczymy jak będzie. Być może w ogóle nie będziesz potrzebowała wizyty psychoterapeuty.

– Ale ja go i teraz nie potrzebuję! – W moich oczach powstawały łzy.

– Nie płacz, może ci się pogorszyć. – powiedziała. Gdyby nie to, że nie czułam, że żadne moje słowa nie przemówią do mojej matki, zaczęłabym płakać.

Obudziłam się w całkowitej ciszy. Po raz kolejny rozglądałam się, próbując sobie przypomnieć,



co ja tu robię. Po chwili usłyszałam kroki na korytarzu, jednak te nie przypominały mi żadnego znanego mi rytmu. Lekko otworzyłam oczy, nie chcąc zdradzić, że nie śpię. W pomieszczeniu była pielęgniarka, ubrana w biały fartuch, a w rękę miała wodę i malutkie naczynie z tabletkami, które od razu wydały mi się cukierkami. Postawiła wszystko na szafce obok mojej głowy i cicho wyszła. Jednak, z powodu swojej nieostrożności, nie domknęła drzwi, przez co mogłam wyłapać rozmowę z korytarza.

– ...mówię ...to było nieludzkie... – słyszałam głos mamy. Próbowałam się wsłuchać w rozmowę, ale szum wydobywający się z korytarza, zlewał się w jedno, więc wstałam z łóżka. Mimo, że najpierw poczułam nieprzyjemne mrowienie po całym ciele oraz migotanie w oczach, podeszłam bosa do drzwi, chowając się nieco w łazience, która była tuż obok.

– Tak, myślałam, że już to więcej się nie potwórzy, naprawdę myślałam, że wyrosła z tego. Ale ja się o nią boję! – Ogarnął mnie pewien lęk, bo mówili o mnie. – Gdyby pan ją widział – w jej głosie czuć było strach. – ta ściana ... Ona miała wtedy takie dzikie oczy! Tak, boję się, aby nie wyrządziła sobie krzywdy. – zobaczyłam na swoje paznokcie i zrozumiałam, dlaczego wszyscy wokół o mnie się tak martwią.

– Pani myśli, że mogłaby? Wyrządzić komuś krzywdę?... nie, nie, nie chodzi panu o Laureę, prawda? Tego nie zdołałaby zrobić.

Nie chciałam tego dalej słuchać. Czuałam obrzydzenie do wszystkich wokół i samej siebie, weszłam z powrotem do łóżka i wzięłam tabletki, które pozostawiła mi pielęgniarka, z nadzieją, że mają coś wspólnego z działaniem nasennym.

Po kolejnym przebudzeniu się straciłam miarę czasu. Zdawało się, że przebywam w tym samym szpitalu, o ile to był szpital, całą wieczność, słońce na ulicy wskazywało, że dzień zbliżał się ku wieczorowi. Tym razem byłam otoczona kilkoma parami oczu. Na krześle obok łóżka siedziała mama, dalej widziałam babcię, a przy drzwiach stał tata. Mimo, że chciałam obwinić matkę w tej sprawie, że muszę teraz leżeć w szpitalu i mimo tego, że wciąż czułam do mamy ogromny żal, że zostawia mnie w szpitalu, stwierdziłam, że aby być zaliczoną do normalnych, mam zachowywać się jak normalna.

– Jak się czujesz? Pielęgniarka zostawiła ci te tabletki do wypicia po jedzeniu. – Na szafce stał już inny kubek, ale tabletki przyniesiono w takim samym małym naczynku, jak poprzednim razem.

– Nie za często? – wskazałam na tabletki, mając pewność, że poprzednia doza była pół godziny temu.

– No, po kolacji. W sumie to otrzymujesz je po raz pierwszy. – Chciałam zaprzeczyć, że już raz je połykałam, ale stwierdziłam, że niczego nie osiągnę, więc tylko wzruszyłam ramionami.

– To co teraz będzie? Ja się czuję całkiem dobrze. – zapytałam, wciąż słysząc w głowie rozmowę mamy z lekarzem.

– Kolacja będzie. Lepiej powiedz nam, czy cię nic nie boli, czy w główce się nie kręci? – zaczęła swoje babcia.

Posłusznie pokręciłam głową i udałam, że ze zniecierpliwieniem czekam na kolację, jednak rodzina nawet nie myślała ruszać się z miejsca. Zacisnęłam nerwowo pięści. Po chwili tego pożałowałam, bo mama mogła to odebrać jako przejaw agresji, więc jak najszybciej zmieniłam temat:

– Mamo, a dlaczego żadne z łózek obok nie jest zajęte? – sama zdziwiłam się, że przyszło mi takie pytanie na myśl, bo czułam się na tyle odizolowana od świata, że całkowicie to mi nie przeszkadzało, jednak ze zwykłej ciekawości stwierdziłam, że zapytam.

– Poprosiłam. – odpowiedziała zadowolona ze swojego czynu. Wnet poczułam jakby mama specjalnie, bojąc się o innych, jak to powiedziała w tajemniczej rozmowie, chciała mnie „unieszkodliwić”. Czułam, jak w gardle powstaje kamień nie do przełknięcia, a oczy mimowolnie, po raz kolejny, zalewają się morską falą. Jednak zapytana, co się dzieje, skłamałam, że słabiej się poczułam.

Po wszystkich tych zdarzeniach, obiecałam sobie, że nigdy więcej nie pokażę swoich prawdziwych uczuć, ponieważ nie chciałam więcej być uważana za „inną”.

Obudziłam się gdzieś o drugiej w nocy. Cały szpital spał i tylko w oddali słychać było pojedyncze rozmowy. Przewracałam się z boku na bok, próbując zasnąć ponownie, aby nie mieć styczności z rzeczywistością, w której muszę żyć. Jednak tabletki nasenne wyraźnie przestały działać. Wyciągnęłam rękę po telefon, który zostawiono mi, abym miała kontakt z rodziną.

Była dokładnie 2.13. Zdziwiłam się trochę, że komórka posiadała Internet. Otworzyłam więc stronę internetową facebook.com. Po wieczności, którą musiałam przeczekać, aby strona się załadowała ogarnął mnie pewien szok. Cała ściana była wypełniona „R.I.P. [*]” słowami adresowanymi do profilu Laury. Przegapiłam jeden dzień – powtarzałam

w myślach. Niektórzy pisali dłuższe listy pogrzebne lub wstawiali wspólne zdjęcia.

Przez chwilę zastanawiałam się, jak wyglądałaby ściana Facebooka po moim odejściu, jednak po krótkim czasie zrozumiałam, że szybciej wszyscy usuną mnie z grona znajomych, niż napiszą jakieś miłe słówko o mnie. Niespodziewanie wyświetliło się powiadomienie, że otrzymałam nowy post. Odruchowo kliknęłam na nie:

„Kochana! Tylko TY wiesz, że to ja znam cię najlepiej. Byłaś i jesteś moją najbliższą przyjaciółką. Dotychczas żałuję, że nie zabrałam ciebie ze sobą. Emotikon języka.

Słowa były przepełnione ironią. W myślach przeklinałam włamywacza, który poprzez „język” przypisał mi wszystkie zdarzenia, które spowodowały, że jestem w tym nieznośnym miejscu, posądzana o morderstwo Laury. Czułam, że prześladowca musiał być psychopata, który sam nie miał przyjaciół, więc wszystkie swoje emocje próbował rozładować na mnie.

W myślach szukałam takiej osoby, która mogłaby założyć maskę mordercy, ale miałam zbyt mało dowodów, aby kogokolwiek oskarżyć. Zdecydowałam, że nie poddam się. Mimo tego, co przed chwilą postanowiłam, nie wiedziałam jeszcze, jakie są reguły tej gry, ale jedno było pewne, niżej już nie upadnę, więc nie miałam nic do stracenia.

Odłożyłam telefon, ale jeszcze długo nie mogłam zasnąć, leżałam wpatrując się w czarną pustkę przed sobą. Na zewnątrz być może to wyglądało na znak utraty nadziei i spokoju, ale moje wewnątrz wybuchowało od myśli i emocji.

Ranki w szpitalu są jakieś inne, niż te spędzone w domu. Nie chodzi mi tutaj o wygość, czy,



o to, że słońce wstaje wcześniej rano i świeci od okna, które się znajduje z boku łóżka. Nie zwracam nawet uwagi na to, że dźwięki są tutaj o kilka decybeli wyższe w porównaniu do domowych. Jednak, będąc otoczona tymi jasno-żółtymi, szpitalnymi ścianami czuję się o wiele spokojniej niż w domu.

Przyznaję, przez ostatnich kilka dni nie zrobiłam niczego, aby zapobiec własnemu upadkowi. Potrzebowałam trochę czasu.

– Śniadanie. – powiedziała osoba roznosząca jedzenie.

– Tak do łóżka? – od rana była miła i gotowa na kilka krótkich konwersacji. Pani się uśmiechnęła i przytaknęła, podając mi kaszę owsianą z sałatką. Zjadłam dość szybko, mimo że lepka kasza niezbyt przypadła mi do gustu, jednak wiedziałam, że lada chwila przyjdą rodzice i, jak zwykle, przyniosą coś słodkiego. Musiałam więc jak jakieś małe dziecko pokazać, że zjadłam danie główne, aby otrzymać „nagrodę”.

– Śniadanie. – gdy tylko odłożyłam zjedzoną porcję, weszła tym razem inna kucharka z takim samym wózkiem co przedtem.

– Przed chwilą była tutaj inna pani ze śniadaniem. – oznajmiłam, pokazując wyjedzony talerz.

– Ale dzisiaj mamy sobotę i dzisiaj tylko ja pracuję. – stała przez chwilę w bez ruchu.

Popatrzyłam na tacę, w której była taka sama kasza, którą zjadłam, więc aby nie dostać jeszcze jednej porcji, zrobiłam przeczący ruch głową. Ale ona się dziwnie zmarszczyła i powiedziała, że sprawdzi w swoim grafiku. Zabrała talerz i wyszła. Po chwili tylko zauważyłam, że była na tyle zaskoczona, że nawet nie zabrała sztućców.

Gdy rodzice przyszli, okazało się, że nie pomyśleli o kupnie dla mnie czegoś smacznego, byłam zawiedziona, że całe starania wepchnięcia niesmacznego śniadania poszły na marne.

– Nie ma żadnych nowin o Laurze? – zapytałam, ale po chwili zauważyłam, że poruszyłam bolący dla rodziców temat. Jednak, mama starając się zachować równowagę, odpowiedziała:

– Nie, niestety, wciąż jej szukają. – potem spojrzała na tatę, – słuchaj, dzwoniliśmy do ciebie. Nie odbierałaś.

– Nie było żadnych połączeń. – powiedziała i zerknęłam na telefon, aby się upewnić.

– Nie, dzwoniliśmy. – powtórzyła jeszcze raz. – Może to coś z telefonem. – powiedziała z pewnością w głosie. – Weź ten mój, abyśmy się więcej nie martwili. – uśmiechnęła się, podając telefon, który pewnie miał tyle lat co ja.

Nie mogłam w to uwierzyć. Zrozumiałam, że mój telefon nie otrzymał żadnych sygnałów, ponieważ ich nie było. Sprzeczać się nie było sensu, ale najgorsze było to, że ja naprawdę niczego złego nie zrobiłam, ale mi już nikt nie ufał.

– Kiedy stąd wyjdę? Przecież mówili już wczoraj... – próbowałam mówić głosem tym samym co zwykle, jednak nie mogłam ciągnąć dalej, ponieważ wiedziałam, że się może załamać w każdej chwili.

– Już prędko, muszą tylko otrzymać wyniki pewnych badań, ale to już nic poważnego. – Powiedziała szczęśliwa, że zmieniłam temat, a ja udałam, że z łatwością przełknęłam jej kłamstwo. Ale już wtedy wiedziałam, że moje postanowienie nie poddawania się słabnie.

Z wielką trudnością otworzyłam oczy i rozejrzałam się po pokoju. Tym razem nie słyszałam niczego wokół. Tylko głośny gwizd w uszach. Był już wieczór, zauważyłam, bo jedynym źródłem światła w pokoju był przycisk alarmowy. Po sekundzie poczułam ogromny ciężar głowy, myślałam, że mi wybuchnie. Gdybym komuś musiała opisać swój stan w tamtej chwili, to bym powiedziała, że czułam się jak na kacu.

W ustach miałam nieznośny smak lekarstw, które wzięłam przed zaśnięciem. Myślałam, że wymiotuję, dlatego wysunęłam nogi spod kołdry i po omacku szukałam kapci. Resztką swoich sił doszłam do łazienki, która znajdowała się kilka kroków do mojego łóżka. Po włączeniu światła, cała moja twarz znalazła się w blasku czerwieni. Tylko po sekundzie, która dla mnie trwała wieczność, zobaczyłam czerwony napis nad umywalką:

„Życie jest snem, a ja jestem twoim koszmarem.”

W łazience, mimo zapachu chloru i taniego odświeżacza powietrza, mój nos zwęszył słaby zapach krwi.

– Czego ode mnie chcesz? – krzyknęłam, zapomniawszy, że jeszcze przed chwilą źle się czułam. – Chcesz się bawić? – mówiłam poprzez łzy. – To bawmy się w otwarte karty. – nie zastawiałam się, czy mnie ktoś słyszy, czy nie. Chciałam wykrzyczeć wszystko.

– Jesteś samotna i psychicznie chora. Podoła się mi się, jak upadasz. – usłyszałam monotonny głos.

– Doprawdy nie wiem, co ja ci zrobiłam! – wykrzyczałam.

Raptownie w głośnikach na korytarzu zaczęła grać melodia. Przestałam użalać się nad sobą i z pewnej ciekawości wyjrzałam zza drzwi. Inni również wyszli z sal i stali w bezruchu. Po chwili rozpoznałam piosenkę. Była to kołysanka, której słuchałam, będąc dzieckiem: „Hush, little baby, don't you cry”

Wiedziałam, że piosenka była skierowana do mnie. Przed moimi oczyma przeleciały wszystkie zdarzenia ostatnich dni.

Poczułam przypływ energii. Ale czy to cokolwiek zmieni?

Wbiegłam z powrotem do pokoju, a przed sobą zobaczyłam stojącą postać Laury.

Chciałam udowodnić innym i sobie, że nie byłam tą, za kogo mnie brali. Byłam karmiona tabletkami, musiałam chodzić do terapeuty, na siłę mnie „naprawiono”, abym była tak zaprogramowana, jak chcieli tego inni.

Na pytanie, kto zabił Laurę, jest za wcześnie, aby dać jednoznaczną odpowiedź. Czasami myślę, że na taką nikt nie zasługuje. Jednak dotychczas miewam sny, po których budzę się w nocy cała mokra, a przed sobą widzę twarz, a czasem całą sylwetkę Laury, ale już się przestałam bać. Uśmiecham się do niej, gdy przypominam ściekającą łzę po jej policzku, gdy nóż przeciął brzuch po raz pierwszy. ●





KOCHAŁAM GOŁĘBIE. Kochałam gołębie jak swoich. Swoich, całkowicie swoich przyjaciół. Przyjaciół, których przeganiałam na placach. Przeganiałam je i babcie na podwórkach. Przeganiać, znaczy kochać. Kochałam gołębie tak bardzo, że odmówiłam babci, gdy zaproponowała mi mięso zawinięte w kapustę, tak zwane gołąbki, ponieważ gołębie są moimi przyjaciółmi! Przekonano mnie dopiero po dwóch latach, że gołąbki nie są robione z gołębi. Oczywiście w końcu je zjadłam: najpierw niechętnie, potem jadłam gołąbki z kwaśną śmietaną, a nie śmietaną z okruszkiem gołąbka. Babcię jednak zmęczyło zawijanie gołąbków, tak jak męczą się pracownicy McDonalda komponując burgery. Robiła ich około pięćdziesiąt dziennie i żadnego dla siebie. Chomicze policzki a w nich, nie uwierzycie: teraz nie ma ani kropelki kwaśnej śmietany, bo gołąbki są zbyt smaczne, by polać je długo skwaśniałym mlekiem. Nie, nie, nie, naprawdę na to nie pozwolę. Podczas gdy dzieciaki z sąsiedztwa wsuwały tarte gotowane ziemniaki, które były starannie rozłożone wokół mięsa, ja byłam trochę bardziej arystokratyczna: jadłam oryginalne japońskie danie, nieco zmodyfikowane przez Litwinów, ale wciąż na światowym poziomie. Za pomocą gołąbków poznałam życie i jego piekło. Poznałam nie w znaczeniu kościelnym, nie miałam okazji złożyć ślubów życiu, to może później, ale poznałam, zaznałam, rozeznałam, rozpozna-

łam, nauczyłam, się, kazano mi wykuć. Ale ja nie jestem skuwaczem ani górnikiem, skutnikiem, klasykistą ani klasykizmem. Nie jestem epoką, nie jestem wtedy cieślą, nie jestem budowniczym ani tynkarzem. Jestem sześciolatką, która tak bardzo to kocha i sam klasykizm. Nie jestem epoką, nie jestem wtedy stolarzem, nie jestem budowniczym ani tynkarzem. Jestem sześciolatką, która tak bardzo uwielbia gołąbki. Veritas in gołąbki. In gołąbki veritas. W moim żołądku robak. Mam nadzieję, że nie glista, gorszy może być tylko tasiemiec. Sok cytrynowy. Dużo, dużo soku z cytryny. W ten sposób karmiłabym mojego małego tasiemca. Gołąbkami i cytryną. Cytryną i gołąbkami. Od czasu do czasu zapiłabym wodą, w której gotowały się gołąbki, może dolałabym soku z cytryny. To dopiero dieta! Wegetariańska? Nie. Wegańska? Nie. Polio? Nie, no coś ty! Gołąbki i cytryny. Wciąż te same cytryny i gołąbki. Można mnie rozpoznać poprzez gołąbki, a innych ludzi według cytryn. Daj mu wybór i zobacz, co zrobi. A – lemoniada, B – kwasek cytrynowy, C – wyciśnie w oko i obwini kogoś innego, D – zgubi cytrynę już pierwszego dnia. ABCD ABDC ACBD ADCB BCDA DCBA. Cytryna. Co ja bym zrobiła? Wybrałabym lemoniadę i zrobiłabym z niej cytrynę, wtedy odwróciłabym się do życia, życie spojrzaloby na mnie, ja spojrzalabym na nie i oboje nic byśmy nie zrozumieli. Człowieka można poznać po cytrynach. Veritas in cy-

tryny. In cytryny veritas. Dlaczego cytryny? Dlatego. Tak. Nie? Znak zapytania. Średnik. Kropka, dwukropek, ooooo! TRZYKROPEK! Jesteśmy Litwinami z Litwy, chcemy koszykówki i kiełbasy! Gołąbków i cytryny! Rozbrzmiewa głos sześciolatki na całej arenie. Na arenie głowy. Na arenie, na której nie tylko gotują się gołąbki, ale najwięcej działań. Działań całego życia. Sześć lat życia w ruchu. Teraz mam sześć razy trzy i życie

nadal nie jest jasne, ponieważ stoję i powtarzam trzy te same słowa, które opisują moje życie. In gołąbki i cytryny veritas. Wszystko można wyjaśnić gołąbkami i cytrynami. Ludzi, życie i wszystko, co bez tego wydaje się niewiarygodne. Kochałam te gołębie. Pokochałam je jak swoje, niestety już je wszystkie wygoniłam z podwórka. Ale nie ma powodu do smutku! Bo wciąż mamy kury!

Przekład Elżbieta Geben



ZA LAGUNĄ „10 MINUS 1”, za górami „7 plus 2” stało miasteczko o nazwie „3 do kwadratu minus 3 razy 2”. W sąsiedztwie miasteczka znajdowały się dwa większe miasta: „2” i „2 do kwadratu”. Trudno było się z nimi dogadać. Kpiąco nazwali miasteczko „3 do kwadratu minus 3 razy 2” jako tylko „trzy”. „W trójce znowu ucieli prąd, trójka znowu nie ma wody, a trójce znowu nie zapłacili za ogrzewanie” Prawdę mówiąc, mało kto nie słyszał tych kpin, ponieważ nie można było krzyknąć „3!”: miasto „3 silnia” stało w dali za tymi trzema miastami. Miasta „2” i „2 do kwadratu” szanowały miasto „3 silnia”, ponieważ wszystkie dzieliły się przez dwa. Co prawda należy wspomnieć, że współpraca „3 do kwadratu minus 3 razy 2” oraz „3 silnia” i „2 do kwadratu” nie była bliska sercu. Oba miały współpracę z „Trójką”, a „2” i „3” nie współpracowały ze sobą, jak pies i kot.

Wszystkie cztery sąsiadujące miasta i jedno wystające „3 silnia” znajdowały się w okręgu cyfr. Okręg posiadał najmniejsze terytorium, mieściło się w nim aż dziewięć miasteczek i zapuszczone zerowe bagno. Ironia polega na tym, że idealnie okrążone. Ironia polega na tym, że wszystkie miasta je lubią, bo oczywiście jest to komensalizm. Ironia polega na tym, że dzieli się na instynkty. Ironia polega na tym, że jest pełny życia. Ironia polega na tym, że jedna Baba Jaga. Ooooo. A Baba Jaga była punktem kulminacyjnym wszystkiego. Kochała wszystkie miasta, dopóki ją przyjmowały w swoich gronach. I po prostu spróbuj ją odebrać, pomnożysz jej gniew na wszystko, co widzą twoje oczy. Babie Jadze najbardziej podobało się miasteczko „3 do kwadratu minus 3 razy 2”. Dlaczego? Bo taka jest norma tego istnienia. W końcu jakiejś trzeba lubić bardziej niż inne. „Ten



szepcze mi najlepsze plotki, ten piecze najsmaczniejsze ciastka, a ten najlepiej maluje mi paznokcie”. Opinie Baby Jagi w środowisku cyfr były najbardziej szanowane. Była bardzo ważna. Nadzorowała bramy między środowiskiem myślącym pozytywnie i negatywnie. Chętnie pracowała. Nie chodziła na nasiadówki, „nie ma tam nic dla mnie”, odpowiadała. Ale czy na pewno? Miasto „2 do kwadratu” zaprosiło ją kiedyś na taką imprezę. Skończyło się źle. Baba Jaga ledwo nie zamieniła całego miasta w bagno. Tak jest już w przypadku sfermentowanego soku winogronowego. Naprawdę powiadam, że miasteczko „2 do kwadratu” nie zdołało zdobyć uznania Baby Jagi, naprawdę nie oczarowało. Tym razem spojrzęła na to przez swoje długie, posiniaczone, kościste i inne jakoś, magiczne palce. Dalej historia głosi, jak miasteczko 2 zaprosiło Babę Jagę do jedzenia kebabów. Mmmmm. Też im się nie udało. Najwyraźniej były źle złożone, bo żołądek babci natychmiast się skręcił, a to jej się nie spodobało. I tym razem ledwo terytorium nie zostało zamienione w bagno. Teraz staje się jasne, dlaczego „2” i „2 do kwadratu” nie lubiły „3 do kwadratu minus 3 razy 2”. Może nie w „Trzech” czy „Dwóch” pies jest pogrzebany? Tak zwane trojaczki mówią, że nie. Widać postęp niepowodzeń, a co zrobimy, gdy spojrzymy na piękną pochodną niepowodzeń? A nic. Nic nie będziemy robić. Zastanowimy się jedynie nad miasteczkiem „3 do kwadratu minus 3 razy 2”. I nauczymy się. I jak niby możemy zaimponować Babie Jadze, wspaniałemu mieszkańcowi zerowego bagna? ●

Przekład Elżbieta Geben





CIĄGLE TĘSKNIĘ ZA TĄ CHWILĄ, kiedy cisza przytulnie zamilka. Nie umiera, nie trzęsie się duszono dźwiękami, a uśmiecha się i cofa, zostawiając przestrzeń istnieniu. Świadomość, rozpoznając ten delikatny gest, raduje i, bez mojej ingerencji, zadaje pierwszy cios. Przestrzeń odpowiada tym samym, nieodważnie, jakby popełniwszy zbrodnię przeciwko ciszy, ale ciało, już załapawszy nowy zadany metr, odświeżająco przeżywa to, co można nazwać rytmiką. Tak się urodziłem. Tak zaczęło bić się moje serce. Według podobnego schematu bije i teraz.

W uszach szumi krew. Cios! Jeszcze jeden. Nie czuję lewej strony twarzy. Chciałbym nie czuć. Cisza. Ach, nie zburz tego. Nie burz tego, proszę. Przeciwno mojej woli z gardła wydiera się jęk. Nie ma ciszy. To tylko odstęp między uderzeniami, i oto!.. Przerzywa ją kopnięcie kolanem w klatkę piersiową. Nogi podtrzymujące ciało puszczają. Padam twarzą w dół.

Głowa bezsilnie odbija się o mokre kafelki w toalecie; o zimne płytki chodnika; o beton parkingu. Jednak swoista rytmika istnieje, czy nie? Oczywiście prawidłowość. W głowie pulsuje ten sam ból. Ryto ten sam – krew pulsuje z przebitej głowy, małąkami strużkami wpijając się we włosy.

Nie widzę – bardziej czuję, – jak nade mną pochyla się gruba, od alkoholu napuchła twarz; zwierzęca ze złości skrzywiona twarz; smutna twarz młodego człowieka targana poczuciem winy. Twarz, która w czas nie otrzymała dawki, nie otrzymała w czas pomocy, poza rytmem,

nie nadążająca za śpieszącym systemem twarzy. Śpiesząca osądzać, żyć śpiesząca, wciąż nie nadążająca na czas uspokoić się.

Twarz stara się coś powiedzieć. Może przeprosza, może mnie żegna, może pyta czy nie mówiłem czegoś do niej, lecz nie – ja milczę. Nie mam tobie co powiedzieć smutny człowieku. Cios. Wybacz. Nie jesteś rytmiczny. Cios. W którymś momencie swego pędzącego życia nie popadłeś w rytm, nie potrafiłeś wstąpić. Tempo! Tempo – krzyczą tobie twarze, ciebie schwylił strach. Zrozumiałeś, że nie możesz należeć do systemu śpieszących twarzy, a innego nie pozwolono tobie poznać, a więc zostałeś gdzieś na obrzeżach cudzych partytur; w brudnych zaułkach, nie oświetlonych bramach, samochodowych parkingach, w ciemnościach – czekać mnie.

Szorstkie ręce z wewnętrznej kieszonki kurtki wybrały telefon. Portmonetka w tylnej kieszeni dzinsów – nie znajdzie. Znalazł. Bolesnie wdycham, jęcząc podnoszę głowę. Wybaczam Ci, smutny człowieku. Cios. Tym razem prosto w twarz, na pożegnanie, widocznie – okropnie chrząszcząc łamię się nos. Do ust sphywa krew. Dławiąc się staram się liczyć oddalające się kroki. Jednak one nie są rytmiczne, zatrzymujące się, jak gdyby człowiek odchodząc odwracał się. Jakby go przytłaczała wina. Lecz kroki powoli cichły. Byłem zostawiony bezsilnie wiercić się w ciemności. Została mi tylko rytmika mego życia. Bicie serca. Cios. Jego i czekałem. Cios. Zrozumiałem, że zaraz okażę się w ciszy. Cios.

Tak dobrze jest mi żyć. Cios. Tak mi szkoda człowieka. Cios. Tak szkoda siebie. Cios.

I znów opóściłem chwilę, kiedy cisza odchodzi, ustępując miejsce świadomości. Nie rozumiałem, kiedy zdążyłem ją stracić, ale doskonale rozumiałem że znów mogę czuć. Doskonale rozumiałem ból. Doskonale rozu-

miałem swój byt. Oстрыm zwierzęcym parsknięciem witałem nad samochodowym parkingiem budzący się ranek i w tym cudownie wielkim momencie ucieleśniałem cały ból świata; cały szum świata; całą będącą ciszę. I byłem szczęśliwy – przecież wciąż jestem częścią rytmiki śmierci i życia. Nie uchwyciwszy początku istnienia, ale z podekscytowaniem oczekujący swego ostatniego ciosu. •



RÓŻOWE FIRANKI TUTAJ ZUPEŁNIE NIE PASOWAŁY. Nie pasował i kaktus, pękający grubym, czerwonym kwiatem ociekającej krwi tętniczej. Oba te fragmenty przydawały gabinetowi dziwnej, niewygodnej lubieżności, którą jeszcze bardziej podkreślał błąd minimalizm szpitala. Widocznie jeszcze przed moim urodzeniem cały budynek był okaleczony okropnie żółtymi kratami, zakrywającymi okna nie tylko na pierwszym piętrze. Ciekawe, jak wielu pacjentów starało się uciec? Czy jest przestrzeń czasu, kiedy zaczynasz czuć wdzięczność kratom, strzegącym świat od ciebie i bakterii będących w tęsim organizmie? Ta delikatna cisza, ogarniająca kliknąwszy blokadzie na sali, delikatność dla siostrzyczki w maseczce, która, zostawszy po drugiej stronie szklanych drzwi, winnie odwraca oczy, nie widzi jak ustami bezdźwięcznie mówisz „dziękuję”.

Teraz, siedząc przed zmęczonym lekarzem z trądzikiem oszpeconą twarzą, mogłem tylko pytać siebie, jak ten reagowałby, gdybym zaczął drzeć te absurdalnie różowe firanki, chowające

rdzą przeżarte kraty. Może krat nie ma? Może akurat ten gabinet i będzie słabym miejscem oddziału, moim biletem do słodkiej, lecz krótkiej wolności? Nie wytrzymałszy końcami palców pchnąłem firanki na bok. Nie. Nawet sanitarzy chcąc nie mają prawa wyskoczyć przez okno.

Ta myśl mnie trochę rozweseliła. Poczulem boleśnie naciągającą się suchą skurę twarzy; nie zażywający kącik ust już drugi raz dzisiaj obrzydliwie pękłszy otworzył się. Lekarz, spostrzegłszy uśmiezek, zmieszał się, niezręcznie uśmiechnął się i chrząknąwszy mówił dalej. Jego głos monotony, równy, słowa – beznamiętne akademickie sformułowania, obojętnie płynące obok, gdzieś daleko poza granicami zrozumienia. Osobliwa improwizacja dżazu. Dawno nie śledzę ani rytmu, ani podstawowego motywu. Jest on jasny od początku – moje zwykłe życie skończone. Od teraz będę miał swój numer, sprawę, łóżko na kółkach i okno, ozdobione okropnie żółtymi kratami. Przecież żółty symbolizuje szczęście, radość, nadzieję.

Taki jest motyw moich pozostałych dni.

Światło podzielone prętami padało na zawalony papierami stół, na małe skrawki rozdierając wpisy w medycznej karcie. Lekarz zbierał je po jednym i tym samym mechanicznym głosem komentował trudną i zawiłą historię choroby. Bolesne słowa agresywnie wtargnęły w świadomość. Jak tylko mogłem starałem się odegnąć je precz.

„Niestety, sam łuk płuc...” – Wyciągam spod stołu ręce. Prawa już zdążyła boleśnie zadrapać kciuk na lewej. Swędzenie rozprasało, uspokajało.

„Te plamy mogą być kobsekwencją zapalenia płuc, ale...” – Wysuwam palce przez zakratowane światło, mając nadzieję zobaczyć, jak te oddzielają się od ciała, unoszą się przez pokój, kapiąc na białe kafelki gorącą parującą krwią.

„Nie możemy zaprzeczyć, że test tuberkuliny...” – Obracam ręce ramionami w górę. Oto on. Różowe, nieznaczne wypuklenie. Dwunastu milimetrów średnicy wystarczyło, żeby test był pozytywny. Pozytywny. Wewnętrzny cynik gardłowo zachichotał. Parsknąłem i ja – dolna warga rozdzieliła się, pękła na pół; nareszcie – pozytywność w mojej medycynskiej sprawie.

„Mantù?” – bardziej wzdechnęła niż spytała mama.

Nagle w gabinecie stało się cicho. Widziałem poruszające się usta lekarza, ale... tyle. Słuch zamieniło inne, poczucie w świetle ledwie drgającego pyłku. Całym ciałem czułem jak one kręcą się w niewidocznych wirach sił, których jeszcze nie zdążyłem poznać. Wzrokiem odnalazłem oczy matki. Jej bładą, od łez nabrzmiała twarz. Boleśnie napięta szyja, przygryziona warga, potargane włosy. Na kolanach mięta torebka z czarnej skóry, którą podarował dziadek,

kosztująca więcej, niż mogliśmy sobie pozwolić, i taka zupełnie beznadziejna w takich chwilach. Swoisty symbol dni, kiedy wszystko było tak, jak musi być. Kiedy syn jeszcze uczęszczał do szkoły, spotykał się z kolegami, a wieczorami na skrawku kanapy grał na gitarze. Kiedy wszystkie plany na przyszłość były na wyciągnięcie ręki, w myślach tworzone portrety wnuków – realne, a jedyny groźny ból – wypuścić w świat dziecko. W życie, które już do niego nie należy.

Widziałem to. Widziałem jak w skórę czarnej torebki bezsilnie wpijające się matczyne palce starają się namacać bezpieczny czas przeszły. Przyszłość, obiecaną synowi. Niestety.

Jej zmęczone oczy spotkały moje z niemyym przebaczeniem, którego nawet nie wiedziałem, że pragnę. W pęcherzykach głęboko gnijących płuc poczułem winę, besztającą za nieczułe użalanie się nad sobą, zakrycie się, które przerodziło się w odrzucenie. „W tej historii jedyna ofiara – Ona”, – głucho szeptała torebka z czarnej skóry. Wybacz mi, mamó. Wybacz za wizje, których nie spełnię; opiekę, którą nie zdążę zwrócić.

Nie wiem co mama wyczytała w mojej twarzy, ale drgnąwszy uniosły się kąciki jej ust. Pod stołem znalazłszy moją rękę, ścisnęła kościste palce. Ścisnęła i puściła. Poczulem jak do wpadniętych, nie dotykanych słońcem policzków napłynęła krew, błysnęła biała linia między spieczonymi ustami, chorobliwie zgięte ramiona wyprostowały się, ale mama tego nie widziała. Jej oczy zastygły utknąwszy gdzieś dalej za moją głową. Zadrżawszy chwila prawdy ucichła, ustępując miejsca przygnębiającemu statystycznemu strachowi. Nie musiałem odwracać się, żeby wiedzieć na co patrzy mama.

Prawie fizycznie czułem jak w jej myślach mieniają się obrazy: moje dni, moje kraty, mój



numer i łóżko na kółkach, która pędzi z ogromną prędkością, ślizgając się na śliskiej podłodze oddziału, zostawiając żółte pasma w jej delikatnej świadomości. Widziałem jak w drobnych zmarszczkach matki twarży obsiada poczucie czasu – poczucie zakończenia, gdy zostaje doczekać się kiedy wyschną farby portretu syna. Jakby jaka groteska czekała, nieuniknione będą wisiał na honorowym miejscu, w świątyni jej duszy, codziennie przypominając o największym cierpieniu macierzyństwa – siebie.

Gdzieś daleko rytmicznie bębni lekarz, obojętny na wewnętrzny dramat matki, otepiały on wielu twarży, w ciągu chwili stającymi się emocjonalnymi ranami. Przecież je leczyc – zupełnie nie w jego kompetencji. Obcy krwawy ból ropą kapie na jego stół pracy, a ten cierpliwie obserwuje, jak kleista masa wsiąka w medyczne zapiski, karmiąc pulsujący gorącym kwiat kaktusa. Ile nadziei musiało ściec pod stół, póki ten rozkwitł śmiercią. Szarozielony, kolący, wyhodowawszy samą najczystsą prawdę.

Po mamy, może po moim samym, policzku ściekła wąska strużka, skoczyła przez zakole kości policzkowej i znikła. Mnie wychowujące oczy błysnęły w moje, jakby one już teraz nie należały nikomu z nas. Ciężko, przerywając wdech, patrząc na swoje brudne buty. Mama wstała, przeprosiła i wyszła. Jeszcze nie zanim zamknęły się drzwi usłyszałem wybuchający szloch. Czy niebu lżej po deszczu?

Zostałem sam w bezpowietrznej przestrzeni. Nawet moje chorobliwe ciało, zohydzone świadomością, mogącą tak zranić matkę, oddzieliła się, zaczęła działać samodzielnie. Samodzielnie niedziałać. Lekarz spuściwszy głowę obiema rękoma pocierał skronie. Narzeczcie wyprostował się.

„Dobrze, według protokołu zrobimy dokładniejsze badania krwi. Rezultatów oczekujcie po dwóch trzech tygodniach. Do tego czasu trzymajcie się domowego reżimu, jeżeli możliwe izolujcie najmłodszych członków rodziny. O wszystkim innym już wiecie. To... tyle”, – i powiedziałwszy przesunął mi jeszcze jeden zapisany listek.

Słabą ręką wziąłem skrawek żółtego papieru. Nadzieja. Palcami dotykałem jej materialną formę. Czyżby wszechświat śmie przyznawać błędy? Chciałem w to wierzyć. Chciałem, żeby w to uwierzyła mama.

„Wasze firanki. One... ładne”, – po długim milczeniu wypaliłem, jakby cudzym głosem.

Twarz lekarza skuła przeciw jego woli wybuchłe cierpienie, ale ją tego nie widziałem – byłem wpatrzony w zostawioną przez mamę torebkę. Symbol tego, co było dobre, piękne, zostawione tutaj, gdzie nic nie jest takie, jak powinno być. A my potrzebowaliśmy tylko różowych firanek, jeszcze trochę czasu. Zakryć oczy, nie widzieć. Nie widać pierścieni krwi tętniczej.

Ciężko wstałem i wyciągnąłem lekarzowi rękę, jednak przypomniawszy, gdzie jestem, zawstydzony odsunąłem się. Podziękowałem swoim jękającym się, zachrypłym głosem i, przyciskając do piersi mamy torebkę, wybiegłem w kłujące, sztuczne światło korytarza. Nowa przestrzeń mnie oślepiła. Wróciwszy do przyjemnego zmierzchu zdążyłem zobaczyć jak medyk pochyla się nad stołem dotykając rozsuniętych zasłonek. Zamarłem obserwując jak za materiałem znikają żółte kraty, a lekarz, widząc lżej odechnąwszy, zdejmuje okulary, zaczyna trzecią oczy. Różowe firanki tu cudownie pasowały.

Ostrożnie, nie chcąc zepsuć katharsis medyka, zakryłem drzwi i skręciłem do jedyne

będącego na korytarzu człowieka – mamy. Siedziała ona na długiej białej ławce pochylona, zakrywszy twarz rękoma. Przykucnąłem naprzeciw, ciągle przyciskając do siebie torebkę – bezpieczny czas przeszły. Wzdychając podniosła oczy.

„Mam, mamuś, powtórzmy”, – powiedzia-

łem, ale w jej wypalonych przez smutek pczodołach nadzieja zablądziła, znikła w głębinach, boję się – nie przeżyła. Nie znalazłszy tego, czego szukałem, oparłem głowę na jej kolanach. Mama wsunęła palce w moje włosy. Bolące kości przeniknął chłodny zroszony spokój: będą. Póki jeszcze mogę. Trochę. ●



NIE MOGĘ OTRZĄSNĄĆ SIĘ Z DRESZCZY. To dziwne napięcie gdzieś w półdrodzu pomiędzy obojczykiem i szyją pomалу przechodzi w plecy. Z rozczarowaniem widzę jak koniuszek ołówka poddaje się drżeniu, zostawiając mnie samego w półpustym lotniczym terminalu. Nawet i nad głową jednostajnym unisonem klimatyzatory szarpia się i milkną. Wkrótce wrócą z jeszcze większym zapałem niszczyć i tak niespokojnych myśli.

Rysowałem sosny. Pnączami i mchami obrysowany kąt każdej stronicy notatnika, a sosny pojawiają się rzadziej. O wiele rzadziej. Tym razem wlały się jednostajnym niekończącym się motywem linii kaligraficznej. Wierzchołki sosen na dole stronicy borykały się z nietkniętymi grafitem przestrzeniami, pozostawione powierzchnie zmieniając w wyimaginowane niebo. Dziwne, ale drżenie bardzo pasowało do tego pejzażu, a więc skończywszy łamaną kontur zacząłem kreślić sylwetki ciemnych drzew. Wydaje się, że sama noc wdarła się przez ogromne okna lotniska, grzecznie położony się na żółtawy papier.

Rozsiewająca się w zeszycie graficzna zieleń stała się bezczelnym manifestem sterylnej estetyce lotniska. Chociaż notatnik wielkości zaledwie dłoni i, w porównaniu z tysiącami metrów terminalu, nic nie znaczył, cichy sprzeciw wobec istniejącego porządku dziwnie uspokajał.

Na wierzchu tej samej stronicy niebieską taśmą konstrukcyjną była przyklejona przetarta fotografia. Stary polaroid, który zaledwie przed kilkoma godzinami wcisnęła mi Gabia. Nijak nie mogę wyrzucić z głowy drobnych bosych stopek, tego, jak ona nie przestraszywszy się nie takiego już i ciepłego sierpniowego deszczu, wybiegła na brudny chodnik. Włosy Gabii pachniały sosnami, jodłami i jeszcze czymś niesamowicie orzeźwiający. Przez tylne okno taksówki obserwowałem jak ona, zatrzepotawszy długą białą nocną koszulą, znikła w otworze ciemnej arki. Między palcami ścisnąłem ledwo drżący polaroid. Od wtedy drzę.

Sama fotografia nie wydawała się być niczym wyjątkowym. Obiektyw skupia się na mojej szyi, niby patrząc przez ramię. Dalej

płynęła rozlana wąziutka uliczka Zarzecz¹, jedna z tych, na których spędzaliśmy czas w te letnie wieczory. Pamiętam jak wieczorem poszliśmy zaułkiem Jana Meka² i jej światło, wtedy jeszcze krótkie włosy błyskały płomieniem w słonecznym świetle. Jakby zgadując moje myśli Gabija zatrzymała się i obdarzyła mnie gorejącymi oczyma. Drżącymi palcami chwytając za osłonę obiektywu przyznałem się sobie cicho – to ona, i, otrzymawszy nieme przyzwolenie Jana Meka, pokochałem. Gabija zawsze było tym, kto chwile mocno zakotwiczał w czasie, namawiała jeszcze chociaż trochę dłużej zostać. Nawet i teraz; zauważyłem na fotografii ostrym przedmiotem naciętą małą strzałkę skierowaną na moje ramię i słowa: „Obok. Zawsze.” Zakryłem oczy. Zajęło mi kilka sekund, żebym pokonał pragnienie wszystko rzucić i w tej chwili bieć do niej. Wiem, dziewczynko, wiem. Zawsze.

Tylko ocknąwszy się zrozumiałem, że już od jakiegoś czasu maluję białą skrawek fotografii. Takie krótkie odloty mama nazywała „północ”. Widocznie nazwa powstała od pstrokatych zórz polarnych, którymi w dzieciństwie malowałem w zapomnieniu wszystko, nawet ważne certyfi-

1 Zarzecz – niepodległa republika w Wilnie. Najmniejsza dzielnica Wilna, oddzielona od wileńskiej starówki rzeką Wilenką. Zarzecz, będące na początku lat 90. dosyć niespokojnym miejscem dziś przerodziło się w piękne sąsiedztwo artystów, intelektualistów i przedsiębiorców. 1 leidybos 1997 roku Zarzeczanie ogłosili niepodległość. Nowa Republika ma teraz własną konstytucję, hymn, pieniądze i władzę, a na jej czele stoi prezydent – poeta, muzyk i reżyser Romas Leikis.

2 Jan Mek (Jonas Mekas) (1922.12.24–2019.01.23) – Amerykański twórca filmowy litewskiego pochodzenia, artysta i kurator, często nazywany ojcem chrzestnym amerykańskiej awangardy. Żył i pracował w Nowym Jorku. Urodzony w Siemieniskach.

katy czy notatki wycieczek. Niestety, dzisiaj odlatuję trochę dalej, dlatego wybaczyć – zatrzymam się mam.

Kwadrans po piątej. Mniej niż za dwie godziny będzie świtać, a przecież, mówią, najchłodniej zawsze przed świtem. Drzenie, widocznie, podekscytowany od tej myśli, spłynęło przez plecy zimnym strumykiem, przypominając, że tuż obok, pod ręką, mam kurtkę kamuflażową. Owinąwszy się w nią poszedłem szukać kawy. Może znajomy zapach pomoże zagrzać się w okropnie idealnej dwudziestodwustopniowej temperaturze, której sztucznością był demonstratywnie dumny każdy centymetr syntetycznego terminalu.

Brzęczenie kawowego aparatu rozpoznałem z daleka. Zawróciwszy w jego stronę minąłem się z łysiejącym mężczyzną, jak nie tak niosącym sześć kubków herbaty. On, widząc moje podjęte brwi, poważny wyraz twarzy zmienił teatralnym skupieniem i przed samym zniknięciem za węglem, uśmiechkiem. Ledwo zdążyłem w myślach życzyć mężczyźnie powodzenia usłyszałem za plecami niegłośny okrzyk, hałas, przeklinanie. Szkoda.

Aparat, chyba działający pod wpływem wzajemnej niechęci nie dał dużego wyboru. Palily się tylko lampki herbaty, czarnej kawy i gorącej czekolady. Nagrabawszy monety wrzuciłem je do szczeliny i zawahawszy się nacisnąłem guzik od kawy. Łącząc portmonetkę do wewnętrznej kieszeni kurtki coś namacałem koniuszkami palców. Mógłbym przysiąc, że kurtkę z pralki wybrałem nie dalej jak przed dwunastu godzinami. Ostrożnie rozwinąłem zmiętą, dopiero co znaną kulkę. W gardle ugrzązł jęk; plecami oparłszy się o aparat upadłem na chłodną podłogę lotniska. To była fotografia, która prze-

żyła pranie, robiona przed kilkoma tygodniami, w czasie jednej z naszych zwykłych porannych wycieczek.

Jeszcze w czerwcu tego roku, w sobotę, niezwykle wczesnym rankiem stałem pod oknami Gabii. Minęło może dwadzieścia minut, póki nareszcie odważyłem się do niej zadzwonić. Okropnie rozczochrana, ubrana w długi różowy podkoszulek Gabia od razu weszła do trójki najśladziej osób jakie kiedykolwiek widziałem. Zobaczywszy mnie stojącego w cieniu wybrzeża Wilenki, z bukietem polnych kwiatów, drżącego, zupełnie jak teraz, zakryła twarz rękoma i zaczęła śmiać się. Ach, w tej chwili kochałem ją. Gabia zeszła na dół obuta w białe tenisówki, ale ciągle w tym samym różowym podkoszulku, niosąc dwa kubki gorącej czekolady i od razu została owinięta w moją kurtkę, oczywiście przeciw swojej woli. Rozmawiając przeszliśmy Zarzecze, Ogród Bernardyński³. Idąc zakolem Wilenki doszliśmy do Wilii, gdzie na zboczu wybrzeża, niedaleko mostu Króla Mendoga⁴ i usiedliśmy. Rozmawialiśmy aż do świtu, a potem, okropnie zmarznięci, ale bezgranicznie szczęśliwi,

3 Ogród Bernardyński – znany niegdyś przez mieszkańców Wilna jako Park Serejkiski, położony jest w samym centrum Wilna, między wieżą Giedymina i klasztorem bernardyńskim. Szczególną przestrzenią parku jest ekspozycja botaniczna będąca pamiątką po istniejącym tu w XVIII wieku jednym z największych w Europie Wschodniej ogrodów botanicznych – ogrodzie Uniwersytetu Wileńskiego. W pobliżu wejścia do parku, Od strony ulicy św. Brunona, znajduje się najstarszy dąb w Wilnie, którego historia sięga 400 lat.

4 Most Króla Mendoga – most na Wilii. Łączy dzielnicę Żyrmuny ze Starym Miastem. Most został nazwany na cześć przypuszczalnego króla Litwy Mendoga i otwarty w 2003 roku podczas obchodów 750-lecia jego koronacji. Ma 101 metrów długości i 19,7 szerokości.

wróciliśmy na Zarzecze, do niej. Mama Gabii zastała nas chichoczących w kuchni. Tak po raz pierwszy zapoznałem się z jej rodzicami. Od tego czerwcowego ranka prawie każdą sobotę wymykaliśmy się w dwójkę spotkać słońce i zupełnie nieważne czy po bezsennej nocy, czy pokłóciwszy się, nie chcąc jeden drugiego widzieć. Rytuał święty, ważniejszy od wszelkich zachcianek, bytów. Wydaje się, że bez nas słońce pewnego ranku mogłoby i nie wstać. Dziecinnie, miło, ale w moich rękach drżący polaroid szczególnie boleśnie przypomina polubiony przez nas brzeg Wilii. Westchnąłem przelknąwszy zaległą tęsknotę. Wiszący na końcu korytarza okropny cyfrowy zegar pokazywał wpółdo szóstej rano. Sobota.

Głośno piszący aparat kawowy zamilkł. Ciężko wstawszy znów wybrałem portmonetkę. Gdyby była tu Gabia, ledwo zadzwięczałszy krzykowi biegłaby pomóc mężczyźnie, no a ja, jak zawsze, „na północy”. Zapasów pozostałych monet ledwie wystarczyło na dwa kubki gorącej czekolady. Przynajmniej tak ucieszę skrzywdzonych, bez herbaty zostawionych dzieci.

Wróciwszy do poczekalni poszedłem prosto do łysiejącego mężczyzny i jego rodziny. Trochę denerwowałem się, że moje życzenia mogą być nieodpowiednio zrozumiane. To tylko mała przygoda. Naprzód. Mężczyzna, wyciągnąwszy się na kilku miejscach, drzemał położywszy głowę na kolanach żony. Ona siedziała z podwiniętymi pod siebie nogami, w całkowicie zanurzona w grubej powieści, a wokół czołgający się brązowowłose, okropie jedni do drugich podobne dzieci zupełnie dla niej nie przeszkadzały. Podszedłszy niegłośno kaszlnąłem. Żona z mężem podnieśli głowy, dzieci zamilkłszy wsłuchały się.



– Am, widziałem co się stało i... dla mnie jednego tyle byłoby za dużo, dlatego pomyślałem, może...

Mężczyzna nawet usiadł. Teraz już jego kolei podnieść brwi. Nie doczekawszy się żadnej odpowiedzi podałem kubki najbliższemu stojącemu dzieciom, które, spojrzawszy na siebie, posłusznie je przyjęły. Odchodząc czułem jak moje policzki palą się. Za sobą usłyszałem zachrypnięte, trochę spóźnione, ale przez to tylko bardziej prawdziwe „dziękuję”, do którego dołączyły wdzięczne głosy maluchów. Resztki dreszczy rozpląły się w wilgotnych dłoniach, zostało tylko małe drżenie głęboko w czubku głowy. Wiedziałem – zapach kawy pomoże mi.

Wróciwszy do swoich rzeczy zastałem przy plecaku siedzącą może sześćioletnią dziewczynkę, trzymającą na kolanach skórą obszyty notatnik, który tak nieodpowiedzialnie zostawiłem odchodząc. Mała, zupełnie nie zwracając na mnie uwagi, małymi pulchnymi paluszkami obwodziła graficzne ornamenty gałązek sosen, ptaków, mchów i cierni. Z jej bardzo ostrożnych ruchów emanowała szczerą koncentracją, dla takiego wieku niecharakterystyczna powaga, może nawet szacunek. Póki dziewczynka uważnie studiowała ołówkiem rysowanego Anioła Zarzeczca⁵, przycupnąłem

naprzeciwko niej. Wystraszone stworzenie skoczyła przez plecak i odsunęła się, dwiema rękoma przyciskając do piersi nieduży notatnik. Na mnie z poczuciem winy patrzyło dwoje wielkich i szalenie niebieskich oczu. Mała, jakby coś wspomniawszy, schowała twarzyczkę za ciemnymi lokami i, nie odrywając oczu od swoich żółtych bucików, przeciągnęła dla mnie notatnik. Ledwo zdążyłem go wziąć, a dziewczynka już biegła do mamy, czule obserwującej nas z przeciwnego strony sali. Spokojny żeński głos oznajmił przez głośniki, że wkrótce rozpocznie się wejście na pokład samolotu Wilno-Helsinki. Póki pasażerowie posłusznie ustawiali się w kolejkę, nigdzie nie śpiesząc rysowałem dziewczynki oczy, nawet i czarno na białym – niebieskie.

Mógłbym tak medytować dotąd, aż skończyłyby mi się ołówki, ale podniósłszy głowę zobaczyłem w kolejce zaledwie kilku pasażerów. Zarzuciłem plecak na ramię i stanąłem za nimi. Bilet lotniczy Gabia bezpiecznie schowała gdzieś w notatniku, dobrze wiedząc, że nigdy go nie zapomniabym. Nie potrzebowałem długo przewracać stronice. Przy bilecie był jeszcze jeden polaroid, przypięty oczywiście przez samą Gabię, zielonym spinaczem, których wiele było porozzucanych w jej pokoju. Szczęka już po raz trzeci tej nocy stała się jednym mocnym węzłem. Przecież ona nie wiedziała, że moja reakcja może być tak bolesna, a drżenie aż do dzisiaj było mi obce. Na małej, przeze mnie robionej fotografii, tańczyła ona. Gabia, odwrócona plecami do góry Trzech Krzyży na otwierającą się panoramę starego miasta w Wilnie. Gabia, owinięta w tą samą, okropnie za dużą dla niej kamuflażową kurtkę, tonąca w jej rękawach i w wirze rozwianych na wietrze włosów.

⁵ Anioł Zarzeczca – został stworzony w celu upamiętnienia opiekuna dzielnicy Zarzeczce Zenonasa Šteinysa. Gdy rzeźbiarz Romas Vilčiauskas nie zdążył ukończyć rzeźby przed planowaną ceremonią odsłonięcia, zamiast rzeźby położono jajko. A więc powiada się, że Anioł z Zarzeczca wyklął się z jajka. Rzeźba została postawiona w 2002 roku w ramach obchodów 5-lecia niepodległości dzielnicy Zarzeczce. Istnieje legenda, że miejsce dla Anioła zaproponował Dalai Lama podczas jednej ze swoich wizyt w Wilnie.

Gabia, uśmiechająca się tylko dla mnie swoimi życiem tętniącymi oczyma, jak gdyby na świecie w tej chwili nie było więcej nikogo. Nagle na całej sali zostałem tylko ja i drzenie, stopniowo stające się tłumem zalewającym sterylną przestrzeń. Zimno.

Ktoś mnie zawołał. Kobiątka w niebieskim garniturku wyciągnąwszy rękę domagała się biletu, który apatycznie dla niej podałem. Nieustannie tonąłem w tych kwadratowych centymetrach szczęścia, pijąc każdy szczegół fotografii, drobnostka, jakbym widział ją ostatni raz. Na dole polaroidu, jak i na pierwszym, drobnymi literkami nacięty jedyny wyraz: „Dom”. Gabia oczywiście chciała, żebym w Helsinkach powiesił fotografię przytulnie, nad łóżkiem, na dobrze widocznym miejscu, a oto we mnie paliło się tysiące kłótni i bójek i ja je wszystkie miażdżąc przegrałem. Dom. Dom tam, gdzie ona, a ja...

– Poproszę pana pokazać swój dokument osobisty.

Jak nie tak podniosłem mokre oczy. Dla mnie obrzydliwie słodko, jak i całe lotnisko – sztucznie, uśmiechała się kobietka. Jej oczy niespokojnie biegały od mojej twarzy do zdjęcia i z powrotem. Dokument osobisty. Drżącymi palcami powoli położyłem polaroid z Trzema krzyżami na zimnym szklanym stole rejestracyjnym. Stewardessa ze zdziwienia zakaszła i uniosła brwi tak, jak tylko kobietki umieją.

– Pański identyfikacyjny dokument. Przepaszam, ale my nie mamy czasu.

Czasu. Prawda. Nie mamy czasu. Zostało zaledwie kilka minut odpowiednio siebie i-dent-y-fi-ko-wać. Sztujwnymi palcami ścisakałem ocalałą po praniu fotografię. Pomału drzenie przeniosło się na zdjęcie, które ostrożnie rozłożywszy położyłem obok pierwszego. Takie zranione, prawdziwe. Uśmiech kobiety przepadł. Było mi tak strasznie chłodno.

– Przecież pan rozumie, że bez dokumentów nie mamy prawa wpuścić pana do samolotu.

– Nic strasznego, ja... dla mnie nie po drodze.

Niezręcznie się uśmiechnąłem, bąknąłem coś podobnego na „dobrego lotu” i szybkim krokiem zwróciłem się w stronę wyjścia, wróciwszy za plecami oniemiałą kobietkę w niebieskim garniturze. Ona, po moim odejściu, zadrżała na krześle i uważnie oglądając polaroidy przygryzła wargę. Dzisiejszej nocy ją też ktoś gdzieś czekał.

Po wyjściu na zewnątrz mnie całą mocą ogarnęła noc. Dziwne, ale policzki gryzący chłód uspokajał, rozgrzewał, przyciągał ostatki brzydkiej estetyki terminalu odlotów. Zapachniało sosną. Sobotą. Gabia. Ekran informacyjny nad moją głową pokazywał siedem minut po szóstej. Słońce wschodzi za pół godziny. Zdążę.

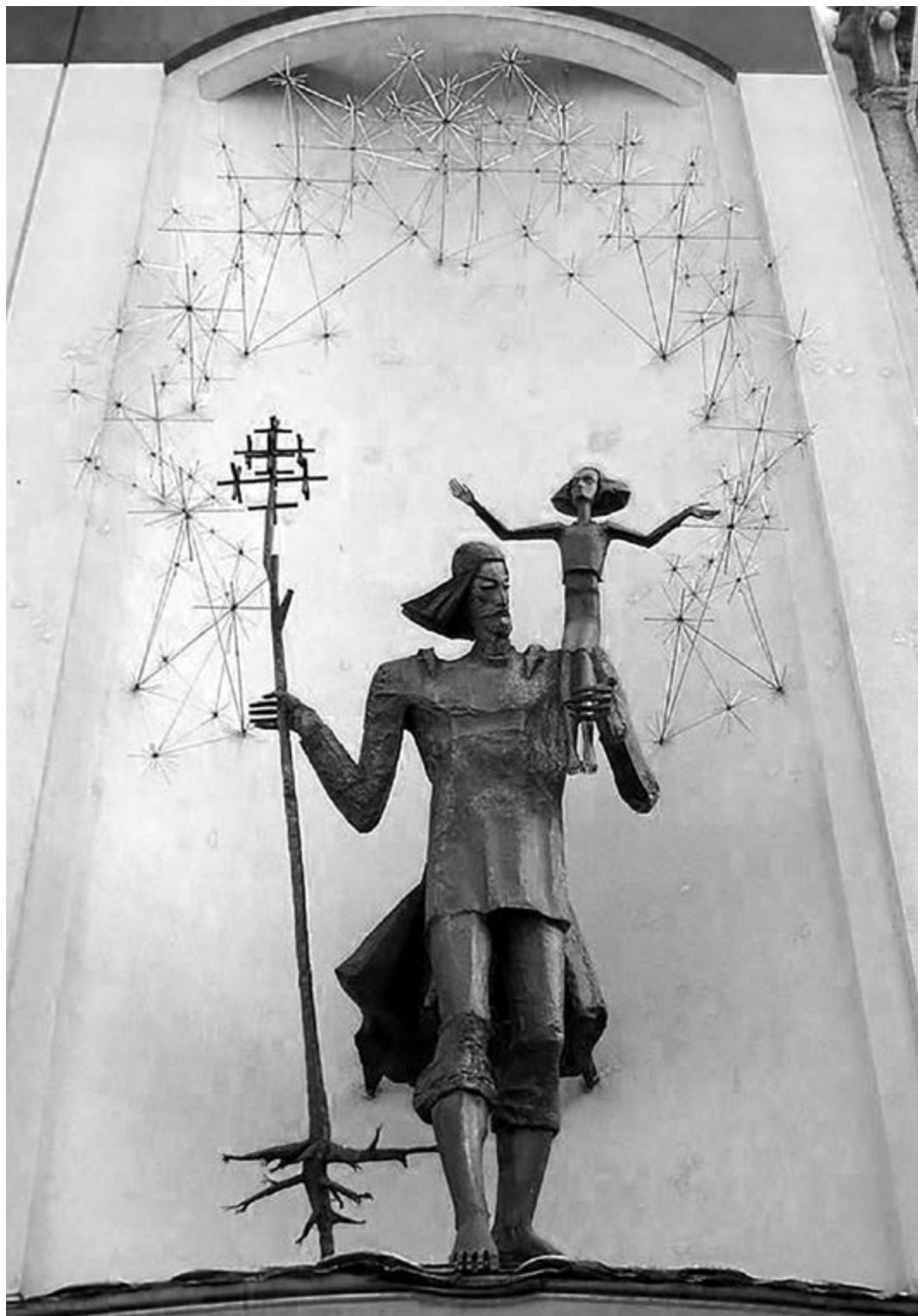
Drzenie ostatni raz skreśliło w dół kręgosłupa i upadł z okrzykiem w otwarte niebo przedświata. W półmroku tonące Wilno nic nie odpowiedziało, tylko po ojcowsku obserwowało jak powodzi mi się wracać siebie dla siebie. ●

Przekład Elżbieta Geben





Św. Krzysztof, granit, rzeźba, kościół pw. św. Piotra i Pawła w Wilnie



Kazys Kisielis, *Św. Krzysztof*, rzeźba, Prospekt Gedymina w Wilnie, 1996



Władysław Skoczylas, *Św. Krzysztof*, drzeworyt, papier, 18 × 13 cm, ok. 1930



Claude Bassot, *Św. Krzysztof*, olej, płótno, kościół Jésonville w Wogezach, 1607



Anonimowy artysta ludowy, *Św. Krzysztof*, drzeworyt (tubok), papier, ok. 1700

Albert Dürer, *Św. Krzysztof patrzący w lewo*, drzeworyt, papier, 11,7 × 7,3 cm, 1521

Herb Wilna



WILNO (lit. Vilnius, łac. Vilna) – stolica i największe miasto Litwy, położone na Pojezierzu Litewskim u ujścia rzeki Wilejki do Wilii.

Historyczna stolica Wielkiego Księstwa Litewskiego, a następnie jedno z większych miast I Rzeczypospolitej. Już za czasów I Rzeczypospolitej w Wilnie, obok Krakowa i Lwowa, działał jeden z najważniejszych polskich uniwersytetów założony w 1579 roku przez polskiego króla Stefana Batorego. Uniwersytet Wileński był drugim najstarszym polskim uniwersytetem, po krakowskim założonym w 1364 r. oraz przed lwowskim założonym w 1661 r. i warszawskim założonym w 1816 roku, pozostałe ważne polskie uniwersytety zostały otwarte już po odzyskaniu niepodległości po 1918 roku oraz po wojnie od 1945.

Miejsce obrad Sejmów Wielkiego Księstwa Litewskiego. Wilno po unii lubelskiej nie utrzymało formalnych funkcji stolicy Rzeczypospolitej Obojga Narodów. Miejsce obrad sejmików ziemskich powiatu wileńskiego od XVI wieku do pierwszej połowy XVIII wieku, po III rozbiorze Polski w 1795 roku Wilno znalazło się w zaborze rosyjskim, od 12 października 1920 do 22 kwietnia 1922 jako stolica tzw. polskiej Litwy Środkowej, w latach 1922–1945 w granicach II RP (jako stolica województwa

wileńskiego). Po agresji sowieckiej na Polskę 17 września 1939 roku przekazane przez ZSRR Litwie i okupowane przez nią do 3 sierpnia 1940 roku, kiedy to w wyniku aneksji państw bałtyckich przez ZSRR znalazło się pod okupacją sowiecką. Po ataku III Rzeszy na ZSRR od czerwca 1941 do lipca 1944 roku pod okupacją niemiecką (Komisariat Rzeszy Wschód). Od lipca 1944 do 16 sierpnia 1945 roku ponownie pod okupacją sowiecką. W konsekwencji decyzji mocarstw wielkiej trójki zapadłych na konferencji jałtańskiej znalazło się ostatecznie w granicach Litewskiej SRR, a większość polskich mieszkańców Wilna została wysiedlona przez władze sowieckie m.in. do Gdańska, Olsztyna, Szczecina, ale i też bardziej na południe przykładowo do Wrocławia, Opola, Bytomia czy Gliwic oraz wielu innych miejscowości. Od 1990 roku jest stolicą niepodległej Litwy. (wikipedia.org)

